

**HANS  
CHRISTIAN  
ANDERSEN**

TYLKO GRAJEK

# Hans Christian Andersen

## Tylko grajek

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843358](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843358)

*Tylko grajek:*

### Аннотация

Krystyan to mały chłopiec z ubogiej rodziny. Poznaje on Naomi, Żydówkę wychowywaną przez dziadka. Dzieci przyjaźnią się, a nawet obdarzają dziecięcą miłością, ale ich sielanka nie potrwa długo. Niedługo po śmierci dziadka Naomi, dziewczynka zostanie zabrana przez tajemniczych ludzi. Krystyan bardzo cierpi z powodu jej straty, ale dzięki ojcu chrzestnemu odkrywa talent muzyczny – uczy się grać na skrzypcach, co w przyszłości może mu przynieść środki do życia. Nie jest jednak tak łatwo, bo na ubogich ludzi czeka wiele niedogodności ze strony losu. Czy Naomi i Krystyan jeszcze się spotkają? Tylko grajek to powieść autorstwa Hansa Christiana Andersena z 1837 roku. Andersen to duński autor żyjący w latach 1805–1875, jeden z najpopularniejszych baśniopisarzy. Pisał również powieści, opowiadania, sztuki teatralne i wiersze, ale to baśnie należą do jego najbardziej znanych utworów. Nie chciał jednak, by kojarzono je z twórczością tylko dla dzieci – kierował je do wszystkich, niezależnie od wieku.

# Содержание

Tom I	4
I	4
II	15
III	23
IV	31
V	36
VI	46
VII	59
VIII	72
IX	82
X	92
XI	101
Конец ознакомительного фрагмента.	105

# Hans Christian Andersen

## Tylko grajek

### Tom I

#### I

Kiedy śniegi już stopnieją, kiedy się lasy znowu zazielenią, wówczas bociany wracają z długiej swojej wędrówki: bawiły one w dalekiej Afryce, piły z wód Nilu, spoczywały na szczytach piramid. Mieszkańcy brzegów Sycylii i włoskiego przylądka Miseno, tysiączne nam opowiadają wieści o bocianach, które corocznie o pewnej porze licznymi gromadami przybywają z za morza i czernią się na spadkach górzystych, aż się raptem uniosą w powietrze, i ulecą, het! daleko, w krainy Północy, ponad śniegi i chmury alpejskie, gdzie gromada na drobniejsze znowu rozdziela się gromadki, a najmniejsza z nich równie jak największa, bez trudu trafia do kraju, z którego wyszła przed pół-rokiem. Oddział-to niekoniecznie najmniej liczny, który leci do małej Danii, a każdy znów pojedynczy bocian zna port do którego zdąża, zna szumiące szczyty lasów i biały komin nad dworkiem wieśniaczym, gdzie czeka na niego dawne gniazdo. Dziwne, tajemnicze ptaki! na waszych grzbietach wjeżdża

do kraju wiosna, a lasy nabierają większej zieloności, trawki powabu, powietrze ciepła i jasności!

Taka-to właśnie para powróciła z podróży, a gniazdo jej stało wysoko nad śpichrzem, w przedmieściu miasta Swendborg<sup>1</sup>. Dwa te ptaki zajęte były pilną pracą, bo znaleziony w rynku blisko trzyłokciowy powróż ze słomy, starały się zanieść do gniazda, potrzebującego widocznie naprawy: usiłowania te zostały dostrzeżone i były teraz przedmiotem rozmowy w domku sąsiednim. Jediną rzeczą odznaczającą jednego z dwóch mówców, opartego na poręczy otwartego okna, były zawiesiste, ciemne wąsy i granatowa, wojskowa czapka; w izbie zaś siedział na stole mężczyzna, niemniej silnej postawy, na którego ciemnych włosach kaszkieci żołnierski byłby się lepiej wydał od białej szlafmicy, i któremu zgrabniej byłoby z pałaszem w rękę, aniżeli z igłą, co teraz szybko grała między jego palcami: człowiek za oknem było sierżant poblizkiej załogi; człowiek na stole był majstrem krawieckim. Mały chłopczyzna przy drugim oknie aż nosa sobie przypląszczył, wyglądając przez szybę za bocianami, o których mówili właśnie starsi.

– Zabawne zwierzęta! – rzekł sierżant gładząc sobie wąsy, – ani za całomiesięczną gażę nie podjąłbym się żadnego z nich zabić! Toć one szczęście przynoszą, gdzie sobie budują gniazdo; dlatego też dostały się żydowi.

– Jużto prawda że siedzą nad domem żyda, – odrzekł krawiec, – ale zawsze i nam się cokolwiek z nich dostanie! co roku

---

<sup>1</sup> Swendborg – miasteczko nadbrzeżne na duńskiej wyspie Fionii. [prypis tłumacza]

placą swoją dziesięcinę, w jednym roku jajko, w drugim pisklę: dziobem, jakby ostrem szydłem, przebijają grzbiet pisklęcia, a potem fora z gniazda! Zresztą, całato komedia patrzeć jak karmią, albo jak przyuczają do lotu swoje młode. Przy karmieniu naprzykład, stare dokazują dziwaczne sztuki; bo stanąwszy prościutko w gnieździe, wyginają w tył długie szyje aż za ogon, tak jak robi kuglarz który wygina się, żeby z za siebie z podłogi podnieść srebrny szeląg. Najprzód tedy wciągają szyję, potem znowu wypychają ją i wyrzucają z niej małe, ładniutkie żabki i ślimaki, któremi częstują swoje młode: ale co nauka latania, to już ze wszystkich jest najpocieszniejszą! Musztra ta odbywa się na dachu, gdzie młode chodzą jakby skoczki na linie, balansują skrzydłami i zaczynają od drobnych skoków, bo jeszcze ciałka ich ciężkie, a pierza nie ze wszystkiem porośły. To też rok rocznie, gdy widzę że już bociany wracają z długiej podróży, tak mi się wydaje, jak gdybym i ja niedawno powrócił z wędrówki, a dawne wspomnienia budzą się we mnie, gdy pomyślę o wysokich górach, na którym się wdrapywał, o wspaniałych miastach, gdzie domy wyglądają jak zamki, o kościołach, w których tyle jest bogactwa co w cesarskim skarbcu. Zapewne, bardzo to pięknie za granicą, – westchnął, – tam największą prawie część roku trwa lato. Jużto z nami Pan Bóg obszedł się jakby z pasierbami! Ale o czémto była mowa? prawda, o bocianach! Nikt jeszcze nie zbadał wszystkich osobliwości, które widzimy w tych ptakach. Zanim odlecą, zbierają się zawsze po rozmaitych miejscach kraju. Widziałem ich przeszło kilkaset pod

Kwerndrup i przyznam się, że odbywały kompletną musztrę: najprzód wszystkie razem klekotały dziobami, tak, iż własnego słowa nie można było dosłyszeć; – rozmawiały zapewne o podróży. Po ukończonej naradzie, raptem największa gromada rzuciła się na kilka pojedynczych, które zakłóła dziobami; – więcej jak pół tuzina legło ich na placu: sąto podobno słabowite i chore, którym sił na daleką drogę nie starczyłoby. Potém cała chmara wzleciała do góry tak dziwnymi obrotami, jak gdyby grajcarek w korku. Niechże nas Bóg zachowa! Jak poszły wysoko, to zdawały się rojem komarów, aż w końcu znikły zupełnie. Żółtka w ich jajach są czerwone jak krew; zaraz widać, że je zniosły słoneczne ptaki, i że w środku leżą młode z gorących krajów południowych.

– Czy i mnie bocian przyniósł z gorącego kraju? – zapytał nagle chłopczyk, który ciągle twarz przyciskał do szyby, lecz jednak uważnie słuchał każdego słowa.

– Ciebie wyłowił ze stawu młyńskiego, – odpowiedział ojciec, – przecież wiesz, że małe dzieci przynoszą ze stawu.

– Ale, – odezwał się chłopczyzna, – toć te dzieci nie mają sukien, więc zkadże bocian może wiedzieć, czyto chłopcy, czy dziewczęta?

– Zapewne, dlatego też nieraz się myli, – rzekł sierżant, – bo przynosi nam dziewczynę kiedyśmy się spodziewali chłopca.

– Czy nie przejdziem od bociana do skowronka? – przerwał krawiec i wyjął niebieską butelkę z kredensu, pełnego dzbanków i kubków, wśród których stał pięknie przystrojony posążek Matki

Boskiej.

– Matka Boska ślicznie wygląda! – rzekł sierżant i wskazał na figurkę, – czyście to sami zrobili?

– Głowę mam z Austrii, – odpowiedział krawiec, nalewając z flaszki, – ale suknie sam uszyłem: takie rzeczy przypominają mi podróże, kiedy jeszcze był młody. Taką samą figurkę stawiały dzieci na stole przed domem; wokoło paliły się małe świece, a dzieci zebrały u przechodzących wołając: „To narodzenie Madonny.” Ale teraz pokażę wam obraz z przemianami, który sam zrobiłem. – To mówiąc, wskazał na źle rysowany, kolorowany obraz w dużych ramach. – Oto doktor Faust w swojej pracowni: po jednej stronie stoi zegar, indexa wskazują dwunastą, po drugiej stronie leży biblia. Pociągnijcie teraz za lewy sznurek! Widzicie, oto zegar przemieni się w biesa, który chce skusić doktora. Teraz pociągnijcie za drugi sznurek, a otworzy się biblia i z ćwiartek wyjdzie anioł ze słowami pokoju. – Jak rzekł, tak się i stało, a przy każdej figurze okazał się zarazem wierszyk z pokusą diabła i z przestrożą anioła. Krawiec pociągnął znów za prawy sznurek, a anioł skrył się w biblii; tylko szatan pozostał z Faustem.

– Co u kaduka! – zawołał sierżant, – czyście to sami wymyślili? Wamby nie być krawcem: wy macie rozum!

– Obraz ułożyłem podług podobnego obrazu, który niegdyś widziałem w Niemczech: mechanikę sam wymyśliłem. Sama historyjka o Fauście czarnoksiężniku także nie jest moją; widywałem ją nieraz w czasie moich podróży w teatrach

maryonetek. Anioł wychodził z biblii i przestrzegał doktora, ale zegar przedzierzgnął się w biesa, który otrzymywał władzę nad Faustem, skoro anioł odszedł, a biblia zamknęła się. Tenże Faust miał famulusa, jak go nazywali, który wiedział o całym pakcie i sam już nawet był na złej drodze, z której się jednak zawczasu jeszcze cofnął. Biedny i nędzny występuje w ostatnim akcie, jako stróż nocny w tem mieście, w którym mieszkał doktor; wiedział zaś, że gdy wyśpiewa dwunastą, wówczas przyleci djabeł i porwie dawnego jego pana. Wybiła złowroga godzina, famulus składa ręce na piersiach i: **Mości Panowie Gospodarze!** woła, westchnąwszy głęboko; ale czy nie mógł, czy nie chciał powiedzieć: **Już dwunasta**, dość że z cicha tylko szepnął: **Na zegarze!** A to wszystko na nic się nie przydało, bo ognistą pożogą Faust wyleciał przez okno swego domu.

– Wyście nie stworzeni na to, żeby siedzieć na stole – rzekł sierżant. – Toć i tak żyjecie tylko myślą o marszach i podróżach. Wojsko, tobyto było dla was życie! Naprzód! Marsz! Na ramię broń! Zanim się rok skończy, bylibyście sierżantem.

– A żona i dziecko? – rzekł krawiec. – Chłopak możeby poszedł za mną jako dobosz, a kobieta za markietankę? Toby nie dla nich było życie! Nie, jużto chyba trzeba być wolnym; wtedy cały świat do nas należy. Toćto były czasy, te pięć lat, kiedym był własnym swoim panem! Widzicie, sierżancie, miałem lat dopiero dziewiętnaście; ani ojca nie miałem, ani matki, ani kochanki! Faaborg<sup>2</sup> niezłe miasteczko; otóż tamem się urodził,

---

<sup>2</sup> *Faaborg* – także miasteczko na wyspie Fionii. [przypis tłumacza]

tam wybyłem swój termin! Marya, córka naszego sąsiada, już była dorosłą dziewczyną, kiedy mnie jeszcze nazywano chłopcem; dla tego też wbijałem się w dumę, że ta ładna, słuszna panna, któraby z łatwością była znalazła tylu „dobrych przyjaciół,” ścisnęła mnie za rękę i filuternie do mnie uśmiechała się. Alem nigdy nawet nie śmiał zamarzyć, żeby Marya mogła zostać moją kochanką! chciałem podróżować, skorobym się tylko wyzwolił na czeladnika; chciałem widzieć ten świat, o którym nieraz czytałem w opisach. Gdy mnie już tedy wyzwolili, zebrałem zaoszczędzonych kilka groszy, związałem tornister i pożegnałem przyjaciół! Otóż w Faaborg, widzicie, tak jest, że kościół stoi na jednym końcu miasta, a wieża na drugim. Przechodząc tedy wieczorem koło wieży, spotkałem Maryę; objęła moją głowę rękami i pocałowała w same usta: mnie się zdawało, że to ogień; nigdy od tej pory pocałunek tak mnie nie przeniknął do wnętrza; byłbym wówczas pragnął, żeby całe miasto na to patrzyło: ale nas było tylko dwoje! Spojrzałem na wieżę: nie ma tam galeryi strażniczej, oprócz wymalowanej z jednej strony na murze; dwóch także strażaków jakiś malarz postawił tam na niej, w naturalnej wielkości; toć ich widać jeszcze dzisiaj, choć kolorów nikt już nie odnawia. Jakżebym wówczas był szczęśliwy, gdyby ci strażacy byli żywi, a i tak nie mogłem się wstrzymać, żebym nie krzyknął w duchu: Byliście świadkami, jak mnie ucałowała najpiękniejsza z całego miasta dziewczyna!

– Czyto były już wasze zaręczyny? – zapytał sierżant.

– Ale gdzie tam! Zaczerwieniłem się jak rak, lecz w myśli byłem wesół, a pełen radości zabrałem się do wędrówki! Przez pięć lat podróżowałem od kraju do kraju; natrafiałem na dobrych ludzi i na zacnych majstrów, ale nigdzie miejsca nie zagrzewał.

– Jużto pocałunek Maryi niezawodnie był wam przedsmakiem; dopierożeście dostali apetytu na dziewczęta!

– No, co prawda to prawda! Nie chcę uchodzić za lepszego, aniżelim jest w istocie; ale i to nie kłamię, że kiedym pierwszy raz w obcym kraju uściskał dziewczynę i dostał od niej pocałunek, nagle Marya przysłała mi na myśl, a nawet w dziwny sposób! Bo zdawało mi się w tej chwili, jakby patrzyła na mnie i ucułem, że się rumienię aż po same uszy! Nigdy też, choćby ztąd najdalej, nie czułem się w obcym kraju obcym, a częstokroć, kiedym w jakim mieście przebył kilka tygodni, zdawało mi się, że już dawniej i ciągle tam mieszkałem, żem zawsze znał tych samych wesołych towarzyszy i z nimi śpiewał piosneczki niemieckie. Tylko jeżeli coś takiego zobaczył, co mnie przejmowało do wnętrza, jak np. stary kościół Św. Szczepana w Wiedniu, albo wysokie góry, z obłokami naokoło, a u stóp swych z żyznymi polami, jakby najobfitszym sadem warzywnym, wtenczas stawał mi na myśli Faaborg ze wszystkimi dawnymi znajomymi; a gdy oczy zachodziły mi łzami nad pięknnością tego świata, mimowolnie wspominałem w duchu wieżę w Faaborg, z wymalowaną galeryą strażniczą i wymalowanych również strażaków, którzy byli świadkami mojego pożegnania z Maryą, i zdawało mi się, jakoby tu dla mnie mogło być jeszcze piękniej,

gdyby tylko stała stara wieża, a pod nią Marya w spencerku w kwiaty i z zieloną spodnicą. Alem sobie prędko zaśpiewał piosenkę, a wnet wracała wesołość, i z kamratami znowu wybieraliśmy się na wędrowkę.

– Ależ i tu w domu jest pięknie, – zawołał sierżant.

– Zapewne że i tu pięknie, kiedy kwitną drzewa owocowe, a pola wyglądają jakby mappa różnokolorowa. Ale gdybyście widzieli jak to wygląda z tamtej strony owych gór wysokich i niebieskich; Alpy naprzykład, boć tak je zowią, to istny ogromny ogród: fraszka przy nich cały sad w Glörup, fraszka nawet wszystkie parki królewskie w naszych krajach północnych. Z gór tych wyrąbują marmur, biały jak cukier, a jakie tam wiszą winogrona, duże i jędrne, jakby nasze śliwki! Byłem tam ze trzy lata; nareszcie odebrałem list od ciotecznej siostry z Horne, a na marginesie były te słowa: „Marya się kłania i prosi, żebyś o niej nie zapomniał.” Poznałem rękę Maryi: wtedy jakoś zrobiło mi się dziwnie na sercu; przekonałem się, że to miłość, a odtąd już nie miałem spokoju. Dostałem tęsknoty, zachciało mi się do domu, koniecznie do domu! Nie jedną noc przeszedłem samotną drogą, koło wielkich klasztorów, przez drobne wioseczki, górą i doliną; w końcu mowa duńska obita się znów o moje uszy, ujrzałem krzyż nad wieżą kościelną w Horne, kurhany pod Faaborgiem: potem poprosiłem o rękę Maryi i otrzymałem ją. Odtąd już nie wędruję! patrzę tylko na bociany, które odlatują w drogę i wracają do domu, a czasem, kiedy nie w humorze, Marya ma już swój sposób rozweselenia mnie. Raz do roku w

lecie płyniemy do Thorseng<sup>3</sup>; toć i to przecież mała podróż, a w dużą wędrówkę, to niech sobie chłopak pójdzie na nią, jak podrośnie: trzeba wam wiedzieć, sierzancie, że w nim nie mało jest życia.

– Za to też dostanie tej wody – odrzekł sierżant i podał mu kieliszek napełniony do połowy. Chłopiec uchwycił go oburącz i wypił jednym tchem, że mu aż łzy stanęły w oczach.

– Otóż i nasza jejmość, – zawołał sierżant, widząc wchodzącą Maryą. Pełna jej kibić i duże ciemne oczy, były jakby stworzone na to, żeby rozkochane serce przyciągnąć z krain południowych. Dosyć ostro spojrziała na męża, i z lekka, choć grzecznie, skłoniła się sierżantowi, który ją poklepał po ramieniu. – Słyszałem całą historią miłosną, – rzekł, – i całą wędrówkę odbyłem z naszym majstrem.

– A tak, bo nic innego nie ma do roboty – odrzekła sucho i chusteczkę złożyła do komody. – Czemuż tam nie został, jeżeli mu było tak dobrze; Bóg wie po co tu wrócił! Raz mu tutaj za zimno; raz za wiele deszczu! To mu też nieraz i mówię: idź sobie! nikt cię nie trzyma! ja sobie mogę pójść do obowiązku, a dla chłopca też znajdę na kawałek chleba.

– Maryo, – rzekł mąż, – nie na prawdę tak mówisz! Gdybym nie był powrócił, tobyś dziś jeszcze była panną!

– Dziesięciu bym miała za jednego! Może nie wiesz, że syn zagrodnika z Oerebäk koniecznie chciał się żenić ze mną, alem ja była głupia, jak to się często zdarza nam kobietom.

---

<sup>3</sup> *Thorseng* – mała wysepka blisko Fionii. [przypis tłumacza]

– Nie pocałowałaś tego, Maryo, – rzekł mąż z przymileniem i przyciągnął ją do siebie. Pocałowała go w twarz, rozśmiała się i wyszła do kuchni, gdzie wnet zasmażyły się ryby do małej uczyty familijnej.

## II

Na prowincyi zwykle każdy dom ma swój ogródek, jakkolwiek nie miał go dom naszego krawca; postarano się tedy o coś w podobnym niby guście, niechby tylko na garść szczypiorku, i w samej rzeczy postawiono na swoim. Byłto, że tak powiem, wiszący ogród północy, na jaki zdobyć się może ubóstwo: duża drewniana skrzynia, napełniona ziemią i stojąca wysoko na dachu, żeby się kaczki do niej nie dostały.

Ile razy potrzebowano z niej co zerwać, wystawiano schodki, które stały w kuchni między półkami a kominem; jeden podtrzymywał je, a drugi wlaził pod strych, otworzył lukę i wierzchnią częścią ciała sięgał do skrzyni.

To też dopiero było święto dla małego chłopczyka, kiedy się matka jego wybierała na dach; raz nawet pozwoliła mu, trzymając go pod rękę, żeby całkiem wylazł z luki i nogami dotknął się sztucznego ogrodu.

– Nas może równie tyle cieszy to trochę ziemi – mawiała Marya – ile żyda przepyszne jego sady.

– Alebyśmy się z chęcią na nie zgodzili, – odpowiadał krawiec. – Jużto tam w środku ma być pięknie i pełno kwiatów: jakieś rzadkie rośliny, których nie znajdzie w żadnym innym ogrodzie w Swendborgu: w lecie wieczorem, jak wiatr zawieje w tę stronę, czuć nawet woń jaśminów. Nieraz już miałem ochotę przystawić schody do dachu, wleźć ztamtąd w gniazdo

bocianie i zajrzeć do ogrodu. Widzisz Maryo, te śliczne topole, które poza dach sam sięgają, dziwne myśli naprowadzają mi do głowy. W lecie, kiedy pełnia na niebie, tak ciemno odbijają od modrego powietrza, zupełnie tak samo, jak ogromne cyprysy we Włoszech. Ile razy, kiedyś ty spała, ja wstawałem i otwierałem okno; otóż jeśli wtenczas dochodził mnie łagodny wietrzyk i wonie jaśminu, wyobrażałem sobie, żeś daleko, gdzieś między górami pięknej Italii.

– Czy już znowu pleciesz trzy po trzy? – rzekła Marya i odeszła. Ale mały chłopczyk wytrzeszczył duże oczy na opowiadanie ojcowskie. Jakżeby chętnie i on wraz z bocianami odleciał do cudzych krajów, jakże byłby szczęśliwym, gdyby choć mógł usiąść na gnieździe i zajrzeć w ogród żyda; rzekłby kto, że zawarty tam był dla niego cały świat tajemnic. Tylko w samym domostwie kupca był on kiedyś z matką, właśnie gdy żydzi obchodzili swoje święta kuczek: nigdy też nie zapomniał pysznego sklepienia z sosen i krzaków szparagowych, prześlicznych granatów przed sienią, i białego niekwaszonego chleba. W długie wieczory zimowe ojciec czytywał głośno z *Tysiąca i Jednej Nocy*, ale własne jego podróże wydawały się chłopcu niemniej cudownymi. Bocian był dla niego jakimś czarodziejskim zwierzęciem, jakby ptakiem **Skatą**, a ogród żyda, którego nigdy nie widział, był mu Hesperya, mieszkaniem Szeherazady ze złotą fontanną i gadającym smokiem.

Było to w lipcu. Malec bawił się w pustej komórce, stanowiącej granicę między domem a światem jego wyobraźni.

W samym kącie obluzowało się kilka cegieł; chłopiec położył się na podłodze i zajrzał przez szpary muru, ale nic więcej nie zobaczył, tylko zielone liście, które w blasku słonecznym zdawały się całkiem przezroczyste. Ze drżącą ręką, jak gdyby szło o zdarcie zasłony z najświętszej jakiej tajemnicy, odważył się na wyciągnięcie jednej cegielki; inne, co nad nią leżały, poszły za nią: serce jego biło głośno, ale on wstrzymywał oddech i nie śmiał się ruszyć. W kilka minut nabrał znowu odwagi. Otwór już teraz był większy, a i tak jeszcze nie dojrzał nic więcej, tylko kwaterę z truskawkami, która jednak wyobraźni dziecięcej takiem się wydała bogactwem, jak dorosłemu widok najbujniejszych drzew owocowych, których gałęzie pod ciężarem owoców uginają się ku ziemi. Liście truskawek tak były duże i pełne, przez niektóre z nich świeciły promienie słońca, inne znów ciemniejsze ukrywały się w cieniu, a w pośród tej obfitości wisały dwie wielkie, czerwone jagody, świeże i soczyste: winogrona Kanaanu nie wzniecały zapewne większego pojęcia o żyzności krainy, nad te dwie truskawki. Wprawdzie i pokusę zerwania wzbudził jednocześnie ten widok, ale to było niepodobnem: na dzisiaj wyjęcie jednej cegły dość wielkim już niezawodnie było grzechem.

Nazajutrz popołudniu kamienie jeszcze były nietknięte; zielone liście przed otworem drżały od pociągu wietrzyka, a jagody wisały tam gdzie wczoraj. Wówczas mała rączka sięgła bojaźliwie i dotknęła się truskawki, choć nie zrywając jej; kiedy zaś po raz drugi zbliżyła się, a palce objęły zieloną lodygę, w

tej samej chwili inna dziecinna rączka dotknęła jój. Chłopiec cofnął swą rękę z takim pośpiechem, że jedna jeszcze cegła wypadła; sam odskoczył na bok i dopiero po kilku pełnych obawy minutach odważył się bliżej przystąpić i wyjrzał przez powiększony otwór.

Dwoje dużych i ciemnych oczków wyjrzało naprzeciw niego; znikły one natychmiast, ale wnet znowu ukazały się. Była to piękna mała dziewczynka, która patrzyła nań ciekawie, choć w ostrożnym oddaleniu; od razu też poznał w niej Naomi, wnuczkę żyda, od której o rok może był starszy. Widział on ją kiedyś stojącą w żółtych, safianowych bucikach, na oknie w domu swego dziadka; te buciki niezatarte na chłopcu uczyniły wrażenie.

Przez długą chwilę dzieci nic nie mówiąc patrzyły na siebie.

– Mały chłopczyku, – rzekła Naomi, – mógłbyś tu przyjść do mnie! Wyjm jeszcze parę cegiełek!

Jakby na rozkaz potężnej czarodziejki, dwie cegły zleciały na ziemię.

– Jakże się nazywasz? – zapytała.

– Krystyan, – odpowiedział chłopiec i wsadził głowę w oświecony od słońca i woniejący ogród. Naomi odgarnęła latorośl winną, która ocieniała ścianę; pogrążony w tym widoku stanął, jakby w krainie swoich marzeń.

Człowiek dorosły byłby tu ujrzał tylko mały, ładny i kwitnący ogródek, z mnóstwem rzadkich kwiatów, z winogronami zwieszonymi po murach, z topolami i dwiema akacyami; ale my

przejmijmy się tym widokiem, jak się nim przejął wchodzący chłopczyk, a odetchniemy z nim razem silną wonią kwiatów, uczujemy ciepło słońca, jak on podziwiać będziemy przepych niezmiernego szczęścia i bogactwa.

Na ścianach wiły się cudnym kobiercem bujne szerokolistne winogrona, woniejące kapryfolie, czerwone i niebieskie konwolwule. Krzaczek centyfolii półksiężycem okalał najpyszniejsze lewkonie, wielkości i różnorodności kolorów nadzwyczajnej, począwszy od najciemniejszego granatu aż do śnieżnej białości; woń ich zdawała się przewyższać wszystkie inne. Pod topolą, na której wiły się mocne liście ciemnozielonego bluszczu, stała mała Naomi, z rożnymi oczkami i ciemną cerą, dowodzącą wschodniego pochodzenia; ale krew świeżo i pięknie przeglądała przez pełne policzki, kruczemi splotami ocienione. Ciemna sukienka, czarno przepasana, odziewała drobną, kształtną kibić.

Zaprowadziła go do ławki pod akacją, gdzie w gęstych gromadkach wisiały bladoróżowe kwiatki. Dzieci raczyły się najpiękniejszymi truskawkami. Chłopiec obejrzał się, porwany wirem jakiegoś hesperycznego świata, który mu się wydawał tak dalekim od rodzicielskiej komnaty; wtem na górze zastukał bocian, on zaś poznał gniazdo i stojące w niem pisklęta, które zdawały się wlepić w niego swoje rozumne oczy. Wówczas pomyślał o małym dworku swego ojca, o skrzyni z szczypiorkiem na dachu, i zdziwił się, że to wszystko jest tak blisko. Jeden tylko bocian patrzył jednocześnie na oba jego światy.

Teraz Naomi wzięła go za rękę i poszli do małej altany, w której pomieścić się mogły tylko cztery osoby, ale która dzieciom zdawała się wielką salą; toć wyobraźni dziecięcej dosyć patyczkiem rysować po piasku, a utworzy zamki ze sklepieniami komnatami.

Jedyne okno z ciemnoczerwonymi szybami, rzucało dziwne światło na ciemne obicia, na których zwierzęta, ptaki i kwiaty łączyły się z sobą w fantastycznych liniach; pod kopułą wisiało strusie jajko, które od czerwonego światła nabierało jakiejś dziwnej barwy ognistej. Naomi wskazała na okno, Krystyan przystąpił i wszystko na dworze ukazało się w jakimś dziwnym oświetleniu; mimowolnie przypomniał sobie płonąca górę, o której mu rozповідаł jego ojciec. Wszędzie naokoło blask łuny; każdy krzaczek i kwiatek w płomieniach; obłoki zdawały się ogniem w ognistej atmosferze: nawet bocian, gniazdo i młode stały w ogniu.

– Pali się! – krzyknął Krystyan, lecz Naomi zaśmiała się i klasnęła w drobniutkie rączki. Skoro dzieci znów drzwi otworzyły, wszystko powróciło do świeżej, zielonej barwy, nawet z pozoru silniejszej jeszcze, aniżeli gdy poprzednio stały w ogrodzie. Była znowu też sama różnorodność kolorów kwiatowych, a bocian stał znowu w gnieździe biały, na czerwonych, długich szczydłach.

– Bawmy się w przedawanie pieniędzy! – zawołała mała Naomi, przeciągając źdźbło słomy przez listek, co miało wyobrażać szalki: żółte, czerwone i niebieskie listki, były niby

pieniężmi.

– Czerwone najdroższe, – rzekła. – Ty będziesz kupował, aleś i ty powinien dać mi coś za to! to będą fanty. Możesz mi dać twoje usta! My się tylko bawimy, ja na prawdę ich nie wezmę! Dasz mi twoje oczy!

Dziewczynka rączką niby sięgała po jedno i po drugie, a Krystyanowi dawała czerwone i niebieskie listki: nigdy jeszcze w życiu swoim tak pięknie się nie bawił.

– Mój ty Boże! toś ty tutaj, Krystykanie! – zawołała Marya, wścibiając do połowy głowę przez otwór w murze, którym dzieci przed chwilą się zeszyły.

Przestraszony puścił rękę Naomi, pogubił tak drogo nabyte listki kwiatów i znikł co prędzej tym samym otworem, którym przyszedł. Na przyjęcie spotkało go kilka porządnych cięgów przez plecy; cegły ułożono na powrót, jak można było najlepiej, i najsurowiej zabroniono podobnych kawałków, jak je nazywała Marya, choć i jej niekoniecznie pilno szła robota około naprawy wyłomu, bo przypatrywała się ogrodowi i zerwała nawet kilka najbliższych truskawek, których widok był dla niej zbyt nęcącym.

Nazajutrz od strony ogrodu otwór w murze zabity był deskami; musiała zapewne Naomi rozpowiedzieć coś o dziwnych odwiedzinach. Napróżno Krystyan przyciskał do desek cegiełki, nawet się więcej jeszcze ośmielił i zastukał: wchód do pięknej krainy kwiatów na zawsze był zamknięty!

Przed oczami stawał mu ciągle cały przepych wspaniałego przybytku, drzewa i kwiaty, czerwone szyby i śliczna Naomi. O

nich też myślał wieczorem, aż dopóki niewinny sen nie spadł na jego powieki.

### III

Gdy się Krystyan przebudził, była jeszcze noc; ale jakiś dziwny, czerwony odblask, podobny do owego, jaki widział przez kolorową szybę, oświecał cały pokój. Wychylił głowę za łóżko; prawda! szyby także miały ten sam ognisty kolor, niebo ten sam blask płonący, ciemna topola zdawała się stać w ogniu; aż rozkosz było patrzeć znowu na te barwy płomienne, rozjaśniające ciemność nocy.

Wtem nagle dały się słyszeć krzyki: rodzice zerwali się ze snu, odezwały się grzechotki pożarne. Cały dom żyda był w płomieniach, iskry gęstym deszczem spadały do sąsiedniego ogrodu, niebo pokryte było czerwoną łuną, a ogień w dziwacznych zygzakach wzbijał się do góry. Marya chłopca zaprowadziła do sąsiadów naprzeciwno i z pośpiechem zbierała co najlepsze sprzęty i suknie, któreby rada ocalić, bo płomień już dosięgał oficyny, nad którą stało gniazdo bocianie.

Stary żyd sypiał na górze, a jeszcze się nie przebudził, chociaż ogień ogarniał go już czerwoną siecią śmierci. Z siekierą w rękę krawiec wyrąbał dziurę w murze ogrodu i wpadł do niego z kilkoma sąsiadami. Gorąco tu było jak w piecu, a wietrzyk nad ich głowami roznosił żarzące węgle.

Jeszcze dzwon pożarny nie odezwał się z wieży; strażacy krzyczeli, ale piszczałek ich nie było słychać<sup>4</sup>: jeden swoje

---

<sup>4</sup> *Jeszcze dzwon pożarny nie odezwał się z wieży...* – w miastach duńskich, gdzie

zostawił w domu, boć jej nigdy jeszcze nie potrzebował do tej pory, drugi miał wprowadzić swoją, ale gdy chciał w nią zadać, pokazało się, że, jak się wyrażał: „straciła wszystek oddech.”

Wyłamano drzwi; nikogo jeszcze nie było widać: wtem zniecka zabrała szyba w oknie, kot dziki wypadł przez nią z przeraźliwym krzykiem, skoczył na drzewo i znikł na dachu pobliskiego domu.

Wiedziano dobrze, że w domu tym było troje ludzi: stary żyd ze swoją wnuczką Naomi i służący ich, stary Joel, handlarz, jak go nazywano w całej okolicy. Należała wprowadzić do służby jeszcze i kobieta, Symonia, która dopomagała Joelowi w staraniach około gospodarstwa; lecz ona na noc wracała do własnej swojej rodziny, a więc w tej chwili nie była tu obecna.

– Wybijcie okno od góry! – krzyknęły pojedyncze głosy i przystawiono drabinę. Dym czarny i gęsty wzbijał się wzdłuż muru, cegły pękały od żaru; płomień śmieiej posuwał się po palących się belkach i łątach.

– Joel! – zawołali wszyscy, widząc go wypadającego z domu. Wychudłe i poźółkłe od starości członki okrył na prędce starym szlafrokiem; długie jego palce ścisnęły srebrny puchar, a pod pachą trzymał papiery w małym pudełku, jakiego kobiety zwykły używać do robótek ręcznych. To było wszystko, co on, jakby przez instykt, zabrał z sobą w nagłej ucieczce. – Dziadek

---

są wieże pożarne, na przypadek ognia stróże miejsca dają znać o nieszczęściu przeraźliwym tonem piszczałkowym. Następnie biją we wszystkie dzwony kościelne. [przypis tłumacza]

i dziecko! – szepnął, a przejęty przestrachem i gorącem, oparł się o mur i wskazał na górę. W tem otworzyło się okno i stary żyd na wpół nagi, z małą Naomi na rękę, wyszedł na przystawione schodki. Dziecko z całej siły tuliło się do niego, a kilku widzów nadbiegło dla podtrzymania drabiny.

Już stary obiema nogami stanął na niej, już wraz z dzieckiem zaczynał się po niej spuszczać, gdy się nagle zatrzymał, westchnął dziwnie i raptem zawróciwszy się z małą, napowrót wlaźł przez okno i zniknął. Czarny dym i iskry na chwilę zasłoniły otwór.

– Jezu Chryste! – zawołano na dole. – Gdzież on poszedł? Spali się na nic z dzieckiem; pewno zapomniał wziąć pieniądze!

– Z drogi! – krzyknął nagle silny głos, a jakiś człowiek z ciemną, wyrazistą twarzą, przecisnął się przez tłumy, wbiegł na drabinę, uchwycił za poręcz od okna, której część wierzchnia była zajęta płomieniem. W pokoju łyskał się ogień, a blask jego dziwnie drżał na chwiejącej się podłodze: człowiek ów wskoczył do izby.

– Czy nie było Norwegczyk z wąwozu? – spytali niektórzy.

– On sam! Jużto zuch nielada!

Ogień oświecał każdy kącik pokoju: Naomi leżała na ziemi; starego dziadka wcale widać nie było, lecz z pobliskiego pokoju, przez drzwi dopiero co otwarte, dochodził dym gęsty i duszący. Obcy pochwycił dziecko i wybiegł na chwiejącą się drabinę. Naomi była ocalona, ale dziadek już odurzony dymem leżał w izbie, gdzie stała okuta żelazem duża skrzynia.

Dach zawalił się z łoskotem. Słup iskier niezliczonych, jak

iskry mleczej drogi, wzniósł się wysoko w powietrze.

– Jezu Chryste, zmiłuj się! – takie było całe *Miserere* dla duszy, która w tej chwili przez płomień wchodziła do życia śmierci.

Niepodobieństwem było cokolwiek ocalić; ogień już zajął wszystko. Stara sługa, Symonia, z jękiem rozpaczycy wyciągała ręce ku pogorzeli, gdzie pan jej palił się i gdzie wczoraj jeszcze była jakby w domu: Joela Marya zabrała do siebie; tam więc zaniesiono także maleńką Naomi.

Od razu zewsząd rozległy się krzyki: – Bocian! biedny bocian! – Otaczające płomień oświecały gniazdo, na którym stała matka, roztaczając szeroko duże swoje skrzydła, żeby młode zasłonić od palącego żaru. Samca nie było widać, musiał wcześniej wylecieć za strawą. Pisklęta bojaźliwie tuliły się na sam spód gniazda, śnać nie śmiały jeszcze o własnej puścić się sile; matka trzepotała skrzydłami i wyciągała naprzód długą szyję.

– Mój bocian! mój drogi bocian! – zawołał krawiec. – W żaden sposób nie pozwolę, żeby się popaliły te biedne moje ptaki! – Przystawił tedy drabinę do dachu, gdy tymczasem drudzy napróżno starali się spłoszyć bociana krzykiem i ciskaniem kamieni. Gęsty i czarny dym przesunął się po murze, krawiec nisko aż musiał schylić głowę, nad którą iskry i głównie pędziły dziką zamiecią. Płomień pochwycił suche gałęzie, z których gniazdo było splecione, raptem zajęło się, a w samym środku ognia stała matka bociania, paląc się z swemi pisklętami.

Nad ranem ugaszono pożar: dom żyda był już tylko dymiącą kupą gruzu i popiołu, w której znaleziono popalone szczątki nieszczęśliwego gospodarza.

Wieczorem, krawiec z małym swoim chłopczykiem stał na pogorzeliisku; tu i owdzie wychodzący dym dowodził, że się ogień tli jeszcze od spodu. Cały piękny ogród był teraz zniszczonem pustkowiem; wokoło leżały czarne, popalone belki; winogrona i śliczne konwolwule, poździerane ze ściany, porzrzucane były i podeptane na wszystkich kwaterach; ścieżki zamieniły się w rozorane pole. Pięknych lewkonij już nie było, krzaczki róż leżały na ziemi połamane i zwalane, jedna połowa akacyi zwęgliła się, a zamiast orzeźwiającej i miłej woni kwiatów, oddychało się tylko dymem i zniszczeniem. Altanka była rozwalona: czworograniasty kawałek czerwonej szyby, oto wszystko, co Krystyan znalazł ze śladów dawnych wspomnień; przejrzał przez szkło, a powietrze paliło się, tak samo jak wtenczas, kiedy wraz z Naomi wyglądali przez okno altanki. Na dachu zaś jego rodziców stał bocian, nieszczęśliwy ojciec, który powróciwszy do swoich, nie zastał już ani gniazda, ani domu na którym stało: dziwnie jakoś wykręcał szyją i głową, jak gdyby czegoś szukał.

– Biedny ptak, – rzekł krawiec; – przez cały dzień fruwał nad pogorzeliiskiem. Teraz chwilkę odpoczywa! Trzeba mu będzie postawić krzyż na dachu, może zbuduje sobie drugie gniazdo. Jakże on tęskni za matką i młodemi! Już one nigdy nie polecą do gorących krajów.

W próżnej komórce, gdzie wyłamany był otwór do opustoszałego ogrodu, stał stary Joel; chudą ręką konwulsyjnie objął zardzewiałą klamkę przy wejściu, a czarne i smętne oczy wlepione były w przedmiot na obszernym tamże łóżku, okryty starym podartym fartuchem. Cienkie i blade wargi jego poruszały się i zaledwie dosłyszalnie mówił sam do siebie:

– Pudło tedy zostało twoją trumną, ty bogaty synu z pokolenia Salomona! fartuch biednej kobiety jest twoim kosztownym, śmiertelnym całunem! Ah! żadna córka Izraela nie będzie myła twego ciała, – czerwone płomienie zastąpiły ją! Ogień był suchszy od ziół, czerwieńszy od róż, które kładniemy do grobów naszych zmarłych. Ale pomnik twój jednak stanie w Bet-achaim<sup>5</sup>, chociaż biedny Joel jedynym będzie twoim orszakim pogrzebowym! ale leżeć jednak będziesz w poświęconym twoim grobie, zkaąd cię czarna, podziemna rzeka poniesie kiedyś do świętej Jerozolimy!

Uchylił fartucha i podniósł pokrywkę pudła, w którym leżały zwęglone zwłoki żyda. Wargi Joela zadrzały gwałtowniej, jakby konwulsyjnie, łzy spłynęły na policzki, ale głos jego stawał się coraz więcej niezrozumiałym i głuchym.

– Jezu Chryste! bądź mu miłościwy – zawołała Marya wchodząc do komórki, lecz w tej chwili rumieniec przebiegł po jej twarzy, bo jej się zdawało, że wymówieniem świętego imienia, w które nie wierzył Joel, jakby się urągała zmartwionemu. – Panie Boże – dodała tedy prędko z

---

<sup>5</sup> *Bet-achaim* – dom żyjących, nazwa cmentarza żydowskiego. [przypis tłumacza]

przyciskiem: – Panie Boże! bądź mu miłościwy!

– Grobowiec jego wzniesie się obok grobowca jego córki  
– odpowiedział Joel, przykrywając napowrót spalone szczątki swego pana.

– Toć ona pochowana aż w Frederycyi<sup>6</sup>, rzekła Marya. Wam daleko jechać, żeby się dostać do grobu. Nie zapomniałam jeszcze tej nocy, kiedy ją ztąd wywieziono. Trumnę jej upakowano w słomę, a towarzyszył jej wraz z wami jej ojciec, który teraz leży w węglach i w popiele. Deszcz lał strumieniami. Teraz pozostało już tylko biedne dziecko! Dziadek jedyną był jej podporą na świecie.

– Matka jej była z naszych, – rzekł Joel i dodał z tonem pewnej dumy: – Nasza gmina nie opuści żadnego ze swoich. Ja stary także dostanę swój kawałek chleba, i z nią się nim podzielę, jeśli nie znajdzie miejsca przy bogatszym stole. Alboż to dziecko chrześcianina nie powinno być w domu chrześcian? – dodał cicho, że niktby tego nie dosłyszał.

– Dziecko jest u nas, – odpowiedziała Marya, – niechże więc w imię Boże zostanie, aż dopóki nie trafi się co lepszego. Gdzie warzą kaszy dla trojga, tam się nawarzy zarazem dla czwartego!

Nazajutrz późno wieczorem, kiedy już na ulicach było ciemno i głucho, mały orszak przechodził przez miasto do portu; naprzód szedł krawiec z latarnią, za nim Joel, z tłumoczkim na plecach i z pudłem pod pachą, później Marya z Krystyanem i Naomi.

---

<sup>6</sup> *Frederycya* – miasteczko nad Małym Bełtem, w części przez żydów zamieszkałe.  
[przypis tłumacza]

Dziewczynka płakała, Joel ucałował ją w rączki i w czoło, i wsiadł na jacht do odpłynięcia gotowy. Wszystko odbyło się cicho, a orszak pogrzebowy w milczeniu stanął przy bulwarku, od którego majtkowie odczepili liny statku.

Krystyan przy świetle wschodzącego księżyca widział rozwijające się białe żagle i okręt posuwający się na szklistej powierzchni; na pokładzie stał Joel z pudełkiem pod pachą; wszystkie kontury występowały ostro w niepewnym blasku miesiąca.

Poeci mówią o cyganach, którzy nieżywego dowódcę zdjąwszy z szubienicy, włożyli nań koronę i kaftan purpurowy, a ciało wrzucili w głębokie nurty rzeki, co miały je ponieść do Egiptu, gdzie spocznie pod wielką piramidą; podobna myśl napełniała duszę chłopczyka, bo zdawało mu się, że Joel z umarłym popłynie do dalekiej, oj! dalekiej krainy fantazyi, może blisko aż samej Jerozolimy, królewskiego grodu Izraela.

– Zupełnie jak Ren pod Moguncją! – zawołał krawiec, wskazując przez cieśninę ku wysepce Thorseng.

– Mój ty Boże! – rzekła Marya, – jakże teraz myśleć można o takich rzeczach? Przecież należałoby się cokolwiek inaczej być usposobionym na pogrzebie, choćby tylko na żydowskim! biedni ludzie! nawet po śmierci nie mają spoczynku! Jeszcze podróżować muszą, żeby się dostać w ziemię! – I smutna spojrzała za okrętem na cieśninie.

## IV

Jakże łatwo i prędko dzieci zapominają swoje troski, może tak samo łatwo i prędko, jak my zapomniemy troski naszego życia ziemskiego, gdy oddychać będziemy na tamtym kiedyś świecie.

Naomi z początku tyle się napłakała za dziadkiem: teraz już spoczął uśmiech, gdzie dopiero płynęły łzy; wszakże wielka, kwitnąca ziemia obróciła się już raz na około swej osi, a dla troski dziecięcej znaczy to tyle, co dla starszych tygodnie i miesiące. Już przywykła do małej izby krawca i do grzecznego współtowarzysza. Przysłano jej ładną, prawie nową sukienkę żalobną, która niemało sprawiła jej uciechy.

– Czy co dzień mam w niej chodzić? – zapytała. – Czy nie trzeba jej oszczędzać? Bo inaczej nie byłaby już nową, gdyby wypadło znowu wdziać żalobę! – O piękne swoje zabawki, o lalkę z kuchnią i z domkiem dowiadywała się nierównie troskliwiej, niż o zmarłego dziadka. Nie było to zresztą nic dziwnego; mówiła tak, jak zwykle mówią dzieci. Wesoło tedy usiadła na wysokim progu, trzymając w ręku liść kapusty, który dla niej zarazem był wachlarzem, altaną i ogrodem; ogromny ten liść zielony zastępował jej nawet cały piękny ogród kwiatowy z wonią i barwami.

Niekształtne kamienie polne, powrzucone raczej na siebie, aniżeli porządnie ułożone, stanowiły wysokie schodki przed sienią, na progu której siedziała Naomi! Otwory pomiędzy

kamieniami nazywała swoim młynem; piasek, jaki w nie sypał Krystyan, był zbożem do mielenia. Musieli się bawić, jak mogli najlepiej, bo właściwe zabawki Krystyana ograniczały się na jedynym bąku, który dość często buczał przed gościem; prawda też, że był piękny, w samym środku sterczał gwoźdź mosiężny, a naokoło pomalowane były kolory czerwone i niebieskie.

– To kwiat, co tańczy, – rzekła Naomi.

– Nie, – zawołał Krystyan, – niech to będzie czarnoksiężnik; służy w naszym młynie i wtenczas się tylko nadaje, kiedy go porządnie ściąć batem! Słuchaj, jak mrczy! patrz, jak skacze!

– Teraz niech umiera! – rzekła Naomi. – Potem go pochowamy, tak samo jak mojego dziadka, a potem będziemy się bawić w żałobę i w pogrzeb; o, jakże to będzie zabawne!

– A Krystyan przedstawiał zarazem zakrystyana i śpiewaka z chóru. Dzieci włożyły bąka w otwór pod schodami i przysypały uszczkniętą trawą; a dalej bawiły się w pożar, przy którym bito w dzwony i ludzie przybiegli na ratunek. Z sąsiedztwa przyłączyło się do nich jeszcze kilkoro dzieci, a zabawa inną przybrała postać; rozumiano się tak dobrze, tak prędko zabierano znajomość i przyjaźń, chociaż Naomi nigdy się jeszcze z nimi nie bawiła! Ale dzieciom z rówieśnikami dzieje się tak samo, jak nam starszym, gdy zobaczymy znanego gatunku kwiaty; witamy je jak dawnych znajomych, jakkolwiek te właśnie kwiaty, które widzimy, po raz pierwszy oczom naszym przedstawiają się.

Zabawa, którą teraz wymyśliły dzieci, zapewne nikomu z nas starszych nie przyszłaby nigdy do głowy. Zdjęły swoje

trzewiczki, ustawiły je wzdłuż muru i przechadzały się tam i napowrót. Miała to być iluminacja, na którą chodziły niby patrzeć.

W owym czasie było zwyczajem weselnym w Swendborgu, że goście przy pochodniach i z światłem odprowadzali młodą parę z domu panny do pana młodego; więc i dzieci wzięły każde za swój trzewiczek, który miał wyobrażać światło, i odprowadzały Krystyana i Naomi, jakby młode małżeństwo po ślubie. Nigdy się jeszcze w życiu lepiej nie bawiły; czemże były lalki, kwiaty i obrazki w porównaniu z temi żywymi zabawkami. Czule przytuliła się dziewczynka do Krystyana, który szyję jej objął rękami i pocałował w same usta; ona mu dała medalionik, który nosiła na piersi; jak się w niego przystroi, mówiła, to będzie hrabią i znowu się pocałowali, gdy tymczasem wszyscy inni stali przy nich i świecili im swemi trzewiczkami.

Był to dziwny obrazek rodzajowy; mała jaskółka nad niemi symbolicznie przystrajała godową sypialnię pod rynną, a w błękitnie powietrza obłoki zdawały się spotykać z sobą i spływać jeden z drugim, wnet znowu od siebie oddalając się, bo niższe szły na wschód, wyższe na zachód, tak jak kierował niemi prąd powietrzny według fizycznych praw natury.

Dziecinne te zabawy niespodzianie zostały przerwane. Rodzaj kocza, z gatunku tych, jakich używano przed dwudziestu kilku laty, niezgrabne pudło drewniane, pomalowane na niebiesko, a obite wewnątrz popielatym kartunem, trzęsąc się zaturkotał na nierównym bruku. Dziś jeszcze, ale tylko na wsi, albo

w małych miasteczkach, np. u zamożniejszych duchownych, spotkać się można z takimi ekwipażami, które wraz z stangretem i szorami są jakby pamiątką wygasłych pokoleń i zdaje się, że same się przeżyły. Same konie były dobrze karmione, a stangret w staroświeckiej liberyi miną już okazywał, iż dobrze wie, że i państwo których wiezie nie należą do zwyczajnych śmiertelników, ale do starej, tytułowanej szlachty. Powóz zatrzymał się przed apteką, do której w największym pośpiechu złożono całe mnóstwo puszek, słoików i flaszek, a natomiast zaopatrzone się w świeże; potem znowu ruszył z miejsca, lecz powtórnie stanął przed sienią, gdzie dzieci się bawiły. Oprócz stangreta i lokaja, siedziały w nim dwie damy, z których jedna młoda, podrzędna, może coś nakształt panny służącej, druga starsza, wysoka, widocznie wielka jakaś dama, tylko że chuda i cery chorobliwej. Ta ostatnia siedziała mocno opakowana w szale i mantyle i co chwila wachała ze sporego, srebrnego flakonika.

Ledwie kocz stanął przed domem, kiedy już Marya kłaniając się, była przy drzwiczkach, a pokornie starą damę ucałowawszy w rękę, zapewniała ją, że żądanie jej bezzwłocznie co do joty zostanie spełnione.

W całym sąsiedztwie natychmiast otwały się okna i lufciki; nawet z sieni swych domów wyglądały niektóre jejmoście, nie tak jak dziś wystrojone w jedwabie lub bareże, ale tak jak był zwyczaj w owym czasie, w czerwonych, wełnianych spencerkach i z zawojami na głowie. Dzieci, które przerwały swą zabawę,

objąwszy się za szyję i stanąwszy wzdłuż muru, przypatrywały się temu widokowi. Ze wszystkiego Krystyan tyle tylko zrozumiał, że w największym pośpiechu zawiązano Naomi fartuszek i wsadzono do obcych dam do powozu, a to w taki sposób, jak gdyby to było oddawna spodziewane; Marya ciągle się kłaniała, a krawiec stał we drzwiach z czapką w ręku.

– Ja nie chcę jechać, – wołała Naomi. Ale jej nie pytano, czy chce, czy nie chce; więc płacząc wyciągała rączki, kiedy już powóz ruszył z miejsca; jednocześnie zaś i chłopiec wybuchł płaczem; pożegnanie było tak nagłe, tak całkiem niespodziane.

– Będziesz ty cicho! – rzekła Marya, – albo dostaniesz, że przynajmniej będziesz już wiedział czego płaczesz.

– Gdzie moja żona pojechała? – zapytał Krystyan.

– Daleko w świat! – była odpowiedź. – Dziękuj Panu Bogu, że masz ojca i matkę! Już ty się kiedyś na tem poznasz! Gdybyś tak musiał odjeżdżać z obcemi! – Zamyślona spojrzała na chłopca, i jakby ocknąwszy się, przycisnęła go silnie do piersi. – No, to też za to będzie ci wolno odwiedzić chrzestnego ojca w wąwozie; przyszykuj się na dobry spacer! – To mówiąc, zabrała go z sobą do stancyi.

## V

Swendborg nosi jeszcze na sobie cechy małych miasteczek z zeszłego stulecia; te nieregularne budynki, w których często górne piętro wystaje nad dolnem, a spoczywa tylko na niekrytych belkach, ganki zasłaniające cały widok i światło sąsiadowi, szerokie schodki przed sienią, z ławkami kamiennymi lub z drzewa, wreszcie na licznych drzwiach wyrżnięte w drzewie napisy duńskie lub łacińskie. Nierówne ulice wydają się brukowanymi pagórkami, po których się w liniach ustawicznie łamanych schodzi raz na dół, raz wdrapywać trzeba pod górę.

Gdzie niegdzie mniemałbyś istotnie, że miasto to leży gdzieś w górach; mianowicie zaś możnaby to powiedzieć o tak zwanym „Wąwozie”, znanym dziś jako giełda kontrabandy i schadzka awantur miłosnych. Spoglądając na ten zaułek z wysoko położonej ulicy miejskiej, masz przed sobą widok nader malowniczy. Potężne kamienie ciosowe, jedne na drugich powalone, dźwigają partery najbliższych kamienic, które z powodu spadzistości ulicy tak samo są wysokie, jak drugie piętra tuż obok położonych domów; tak więc z owej ulicy środkowej widzi się przez kominy i dachy wązkiego wąwozu znaczną część cieśniny, cały brzeg ocieniony wysokopiennym lasem i kawałki wysep Langeland i Thurö.

Na tej ulicy mieszkał ojciec chrzestny Krystyana; chłopiec stał już na rogu i patrzył na jego dom stojący tak nisko, że zwierciadło

wody zdawało się oku znacznie wyższe. Rzekłbyś, że trójmaszt pod miastem popłył wierzchem kominów.

Jak zwykle sień była zamknięta, lecz w środku zabrzmiały skrzypce. Ktoby tylko miał ucho otwarte na tony, byłby się zdumiał nad tą grą cudowną; był to ów jęk melodyjny, który ze skrzypców Paganiniego zrodził bajkę, jakoby zabił swoją matkę i że teraz jej dusza płacze w strunach.

Wkrótce ton przeszedł w prostą żalność: Ole Bull, Amfion północy, tenże sam temat na swoich skrzypcach nazwał: „boleścią matki nad śmiercią, swego dziecka.”<sup>7</sup> Nie była to wprawdzie ta skończoność, jaką posiadali ci dwaj naszego czasu mistrze w sztuce Jubala, ale jednak gra ojca chrzestnego przypominała ich obudwóch, tak samo jak zielona gałązka we wszystkich swoich szczegółach przypomina drzewo, którego stanowi część.

Równie jak Ole Bull i on był Norwegczykiem; takim już poznaliśmy go w czasie pożaru, z którego wyratował Naomi. Między polami, skałami i górami lodowymi stała jego kolebka; często też Krystyanowi opowiadał o swojej ojczyźnie, o duchu wodnym Nöku, który mieszka w rzekach Norwegii, a przy blasku księżycy, z długą, białą brodą siaduje pod skałą i gra tak pięknie, tak pięknie, że się aż czuje ochotę zeskoczyć do niego w przepaść. Biedny Nök! wtenczas kiedy grał najpiękniej, przedrwiwały go niesforne chłopaki: – Ty i tak zbawionym nie

---

<sup>7</sup> *Wkrótce ton przeszedł w prostą żalność...* – tak nazywa się jedna z najślawniejszych fantazyi Ole Bulla. [przypis autorski]

będziesz! – wołali, a Nök zapłakał rzewnymi łzami i skrył się w nurtach rzeki.

– Niezawodnie Nök nauczył grać twojego ojca chrzestnego! – powiedział raz jeden z sąsiadów do Krystyana; jakoż odtąd, ilekroć słyszał jego skrzypce, zawsze przychodził mu na myśl Nök w szumiącej rzece, więc stawał się milczącym i marzącym.

Dlatego też dzisiaj usiadł przed zamkniętą sienią, oparł głowę o drzwi i słuchał dziwnych tonów; dopiero gdy skrzypce umilkły, zastukał nogą.

Człowiek, któregośmy raz już widzieli i który zaledwie wyszedł z tych lat, które zowiemy samą siłą wieku, ukazał się we drzwiach i otworzył; brunatno-żółta jego cera, czarne jak węgiel włosy, wskazywały miészkańca południa, lub nawet potomka Wschodu, tylko że ten pozór w zupełnej był sprzeczności z dziwnie blado niebieskimi oczami, tak wyłączną prawie własnością synów północy, a zostającymi w tym dziwniejszym kontraście z ciemnymi i gęsto zwieszonymi brwiami. W pierwszej chwili mógłby kto nawet pomyśleć, że twarz i włosy były jedynie pomalowaną maską i że tylko zupełny blondyn może mieć tak jasne oczy.

– To ty jesteś, Krystyanie? – rzekł Norwegczyk, dziwnie z ukosa spoglądając na niego.

Chłopiec nawpół z bojaźnią, nawpół z przywiązaniem spojrział na chrzestnego, bo obecność tego człowieka istotnie miała w sobie coś z owej tajemniczości, jaką przypisują grze Nöka, albo wzrokowi węzów. Kiedy Krystyan był w domu, wtedy ciągle

tęsknił za nim; jednak w obec nikogo takiego nie doznawał uczucia co przy nim, podobnego poniekąd do wrażenia jakie sprawia na nas przekonanie, żeśmy sami jedni w ciemnej kaplicy grobowej, albo też w dużym lesie, gdzieśmy nocną porą zbłądzili z bitej drogi. Przy każdych odwiedzinach Krystyan dostawał swoje dwa szylingi, a to jeszcze w tak zwanych „szyldzikach”, czyli cieniutkiej monecie miedzianej, z której sześć sztuk idzie na jeden szyling. Wszakże wyznać należy, że jego nie to przyciągało; były to raczej cudowne powiastki o czarnych borach jodłowych, o górach lodowatych, o Nökach i upiorach, a przede wszystkim muzyka. Skrzypce ojca chrzestnego na swój sposób równie dziwne opowiadały rzeczy, co usta.

Wpuściwszy chłopca, zamknął znowu drzwi od sieni. W pokoju na ścianie wisało kilka obrazów, które szczególnie zajmowały Krystyana; były to pięć kolorowych rycin z tańca śmierci, podług malowideł w kościele Panny Maryi w Lubece.

Wszyscy tu muszą, iść w taniec, nawet małe niemowlę w kolebce, które zdziwione śpiewa:

«O śmierci! tobie jak dogodzić?  
Mam tańczyć, a nie umiem chodzić!»

Krystyan spojrział na obrazy, które wisały odwrotną stroną. Zapytał o przyczynę.

– Wykręciły się w tańcu, – rzekł ojciec chrzestny, poprawiając je. – Czyś długo czekał podedrzwiami?

– Nie długo; słuchałem, jakieś grał. Gdybym był tutaj, zaraz mógłbym zobaczyć, jak śmierć tańczyła wokół, że się aż obrazy wykręciły. Wszakże wszystko prawda, coś mówił?

– Dam tobie te obrazy, – rzekł chrzestny. – Powiedz ojcu, że ci je darował! Szkło i ramy zatrzymam dla siebie. Czy to nie śliczne obrazy! Czy mnie teraz kochasz? Możem ja nie dobry? Jak ci się zdaje?

Mały przyjął podarunek, ale jakoś był jakby nieswoim pod wzrokiem Norwegczyka.

– Dla czegoś przyszedł bez twojej koleżanki? Podobno się nazywa Naomi, nie prawda? Przecież moglibyście śmiało przyjść razem!

– Już jej nie ma, – rzekł Krystyan, – pojechała z wystrojonym stangretem! – i jak mógł najlepiej rozpowiedział wszystko o nagłym jej odjeździe. Ojciec chrzestny z pewnem zajęciem słuchał tego opowiadania i uśmiechnął się. Smyczek zatańczył znów po strunach, a jeśli śpiewały to samo, co ojciec chrzestny myślał przy swoim uśmiechu, tedy myśli te były niezawodnie złe i gorączkowe.

– I ty się nauczysz grać na skrzypcach! – zawołał. – Kiedyś będziesz mógł mieć z tego majątek! Nagrasz sobie pieniędzy do kieszeni, a troski wygrasz z głowy, jeżeli cię kiedy jakie opadły. Tu są moje stare skrzypce; najlepszych jeszcze ci nie dam! Palce tak! – i ustawiał mu palce na strunach, a sam kierował smyczkiem w rękę chłopca.

Głos ten ucieszył malca; wszakże on sam go stworzył! Ucho

jego uchwyciło każdy ton pojedynczy, a drobne paluszki z giętkością przebiegały struny.

Blisko godzinę trwała ta pierwsza lekcya; potem chrzestny ojciec sam wziął do ręki skrzypce i zaczął grać; była to prawdziwa gra w tony, tak jak kuglarze grają, w złocone jabłka i ostre sztylety lub noże.

– O, zagraj jak śmierć tańczy! – prosił malec, a chrzestny silnie kilka razy pociągnął smyczkiem; struna basowa drgała jeszcze, a kwinta zasyczała w cieniutkich, piszczących tonach.

– Dziewczę ślicznotka buja w wirze taneczników, a śmierć czy ją słyszysz? piszczy, jak świerszcz pod podłogą! – i przymknął oczy, a duże krople potu stanęły na jego twarzy.

Potem położył skrzypce i otworzył drzwi do ogrodu, który dochodził aż do brzegu morza, gdzie ocienione lasami wyspy pływały na cichej fali.

Słońce już zachodziło.

Cały ogród zasadzony był kapustą; Krystyan najwięcej takiej się przypatrywał, która zaczynała się zwijać w głowy.

– Toby coś było dla Mistrza, – rzekł.

– Co to za głupstwo, chłopcze? – zapytał ostro ojciec chrzestny.

– Ja tylko chciałem powiedzieć, – odrzekł Krystyan, – że Mistrz zapewne radby mieć tę dużą głowę kapusty! Rok temu, kiedyśmy przejeżdżali koło jego domu i ogrodu, gdzie zupełnie taka sama rośnie kapusta, matka mówiła mi, że jeżeli zechcę być Mistrzem, to mnie odda do niego do terminu, gdzie za każdą

razą jak będzie miała być na obiad kapusta, każą ściąć toporkiem główkę tej kapusty w tem samem miejscu, gdzie ją poprzednio nożykiem naznaczy.

– Milcz! – krzyknął chrzestny z niezwykłą gwałtownością, i tak silnie potrącił chłopca, że aż upadł na zagon, przy czem wysunął się mały medalionik, który otrzymał od Naomi.

– Co tam masz? – zapytał z dziwnym wyrazem, gdy podnosząc chłopczyka dostrzegł medalionik. Spojrzał na loczek w środku i uśmiechnął się, ale chyba tak samo, jak może uśmiechnąć się głowa exenterowanego człowieka, skoro drut galwaniczny dotknie się jego języka. Raptem wszedł do domu, lecz wnet powrócił ze złożonemi w trąbkę rycinami i z miedziakami obwiniętymi w papier. Następnie otworzył drzwi prowadzące na Wąwóz, a odwiedziny na dziś były skończone; lecz Krystyan wyszedłszy usłyszał znowu skrzypce, a strony wyrażały jakąś wesołość, taką wesołość, jak kiedy na statku niewolniczym murzyni dla nabrania ruchu z bitem w rękę zostają zapędzani do tańców na pokładzie.

Nazajutrz ojciec chrzestny poszedł w odwiedziny do krawca; a przyniósł z sobą świeży liść kapusty i trawki dla kanarka, którego klatka tym sposobem przemieniła się w zieloną altankę. Drobną ptaszyna zaintonowała pieśń radości i wdzięczności; chrzestny zaś z dziwnym, podchwytyjącym wzrokiem słuchał wesołych i śmiałych, wysokich tonów, jak gdyby chciał się ich wyuczyć od ptaka, by później natchnąć niemi swoje skrzypce. Krawiec chętnie słuchał gry Norwegczyka, bo budziła w nim

wspomnienia o podróżach po obcych krajach; Marya przeciwnie twierdziła, że w tej grze jest coś jakby djabelskiego, a myśmy niemal gotowi przyznać jej w tem słusność.

Z Paryża odbieramy niekiedy ryciny z napisem: „Diableries”; w samej też rzeczy tryskają z nich wszystkie najbardziej demoniczne wybryki bogatej fantazyi. Jedna z nich wyobraża eksekucję: pal, do którego zbrodniarz ma być przywiązany, stoi na pierwszym planie; na samym wierzchu siedzi djabeł; ręce ma założone, a obie nogi wyciągnięte w kącie prostym względem pala, tak iż z nim razem tworzy niejako krzyż Golgoty. Przed tym krzyżem klęczy młoda dziewczyna, w mniemaniu że klęczy przed Świętym, a wokoło złe duchy patrzą na nią z szyderczym uśmiechem. Na pierwsze wejrzenie rzekłbyś, że modli się do krzyża, lecz wnet poznasz, że przedmiotem jej adoracyi jest sam djabeł. Podobnym zupełnie obrazem, tylko że w tonach, nie w rysunku, była gra na skrzypcach ojca chrzestnego.

Nauka wczoraj rozpoczęta miała powtarzać się po dwa razy na tydzień, bo chłopiec widocznie głowę i palce zdadne miał do skrzypców.

– Może mu to kiedyś przyniesie kawałek chleba, – rzekła Marya.

– Może mu to posłuży na zwiedzenie obcych krajów, – rzekł ojciec.

– Albo to prawda! – przerwała matka. – Tybyś chciał żeby został włóczęgą; trzeba ci go było oddać do skoczka na linie, co tędy przejeżdżał, toby się dopiero był napatrzył świata.

– Kto wie, czyby to było tak złe, – odpowiedział ojciec; – może byłby na tem i wcale dobrze wyszedł. Powiedz, Krystyanie, czy chciałbyś być tak lekkim jak ptaszek, tańczyć na cienkiej linie i słyszeć, jak wszyscy klaszczą w ręce i wołają: brawo? Oto podróżowałbyś od kraju do kraju i zobaczyłbyś i to i owo!

– A tak! zobaczyłby cięgi! – rzekła Marya. – Zobaczyłby na chlebie oliwę, tę obrzydliwą, tłustą oliwę, po której ciała ich stają się giętkie, niby trzciny. Nie! z tego nic nie będzie! Niech się lepiej uczy grać na skrzypcach, to go jeszcze nie zrobi kuglarzem!

– Niech sobie wygra drogę do serduszek dziewczęcych, – powiedział ojciec chrzestny. – Jakoś z oczów mu patrzy, że niezły z niego będzie ptaszek!

– I owszem, – odpowiedziała Marya, – niech sobie tam będzie, jak zechce, byleby tylko nie kradł i nie kłamał! Zresztą piękność bardzo mu tam wiele podobno nie pomoże! Bóg raczy wiedzieć, zkąd przyszedł do takiej twarzy.

Zwykle wszystkich rodziców dzieci są ładne, ale Marya pod tym względem należała do rzadkich wyjątków. Dobrze ona bowiem wiedziała, że syn jej nie jest pięknym, jakkolwiek trudno znów było powiedzieć, że był brzydkim. Portret jego z tej epoki po dziś dzień jeszcze widzieć można w Swendborgu, w kościele Ś-go Mikołaja, gdzie w głównej nawie wisi na ścianie duży obraz, podarowany gminie przez księdza Morsinga z Thorseng, po śmierci jego żony. Obraz ten przedstawia w naturalnej wielkości pastora z żoną, dwiema córkami i siedmią

synami; przed nimi troje umarłych dzieci leży w pieluchach. Liczba tych dzieci wynosi tedy dwanaścioro, które wszystkie, z wyjątkiem jednego, o ile się zdaje, ze wszystkich najmłodszego, są twarzy wcale ładnej; owemu najmłodszemu zaś dziecku malarz do ręki wsadził różę, jak gdyby na to, żeby choć czemś pięknem zastąpić przyrodzoną brzydotę. Twarz tego chłopczyka była zupełnie jakby portretem Krystyana, a nadzwyczajne to podobieństwo uderzyło nawet rodziców; do niego też odnosiły się następujące wyrazy ojca chrzestnego:

– Skrzypce niechaj się jemu staną różą w rękę, jak tam na obrazie w kościele!

## VI

– Jeśli się którego dnia wybiorę do Thorseng, – powiedział ojciec chrzestny, – to Krystyan pojedzie ze mną.

Było to w połowie Sierpnia, gdy zwiastowano wielką nowinę: „jutro jedziemy do Thorseng” Toć pogody można się było spodziewać pięknej, bo słońce zaszło czysto, a na zachodzie najmniejsza nawet nie pokazywała się chmurka.

– Czy daleko do jutra? – zapytał malec, gdy się położył do łóżka.

– Tylko zamknij oczy i staraj się żebyś zasnął, – odpowiedziała matka, – to nadejdzie ranek, ani będziesz wiedział jak i kiedy. – W nocy jednak odezwał się znowu i zapytał, czy już niedługo będzie jutro?

– Czy chcesz żebym wstała i zamknęła ci oczy? – zawołała matka, – ale już się odtąd malec na żadne nie odważył pytanie.

Przecież nad ranem pozwoliła mu matka wstać, włożyła czystą koszulkę z cienkim, płóciennym kołnierzykiem, sukienkę świąteczną i nowe buciki, które w owym czasie szyte były białym ścięgiem.

Chrzestny już stał przed sienią, więc wybrali się w drogę; ale nie do mostu, bo nie był to zwykły dzień powszedni, w którym na promie bezpłatnie przewożą mieszkańców miasteczka. Poszli tedy do poblizkiej rybackiej wioski Ś-go Jerzego; gęsta mgła na polach nadawała im pozór jezior, ptaszki świergotały, a ojciec

chrzestny gwizdząc wtórował ich głosem. Nie było czasu na zbieranie kwiatów, więc tylko długą gałąź konwolwulów zerwano z wału, którą Krystyan uwieńczył swoją czapkę.

W wąwozie, ale już teraz nie na brukowanym, w mieście, tylko w prawdziwym wąwozie, gdzie jeszcze z dawnych czasów stoi krzyż z męką Pańską przy drodze, siedziało grono wesołych wieśniaków przy śniadaniu; dzbanek z piwem okrążał kolejkę.

«Kapelusz z piórem skroń mu otula,  
I w Kopenhadze służy u króla!»

zaśpiewała jedna z dziewcząt, wyciągając do Krystyana rękę, ale ojciec chrzestny objął ją w pól i zanim się spostrzegła, złożył pocałunek na jej ustach.

Przez mały lasek, należący do probostwa, doszli do starego kościoła, wznoszącego się na południowym brzegu Fyonii, tuż nad głęboką cieśniną. Po lewej stronie, obok wzgórzy, leży wieś rybacka z czerwono pomalowanymi kominami; sieci rozwieszono były na wierzbach. Łódź rybacka kołysała się pod niskim, kamiennym bulwarkiem, a dwóch ludzi w niej było zajętych wyczerpywaniem wody i przywiązywaniem żagla. Czekali na przybywających.

– Czy chłopczyka weźmiecie z sobą? – zapytał jeden z nich z miną nieco niespokojną.

– To mój mały osiołek; przyda się do dźwigania ciężarów, – odrzekł Norwegczyk śmiejąc się. Chcę niechaj zobaczy

Thorseng, niech będzie w zamku i na wieży w Breininge. Wszakże prawda, że z ciebie dobry, mały osiołek?

Następnie sam schwycił za jedno wiosło, bo wiatr był zbyt słaby, żeby można było użyć żagli; czołno przeryzując przezroczystą, zieloną przestrzeń, zostawiało za sobą jakby głęboką bródę. Krystyan siedział z tyłu przy sterniku. Galaretowate gwiazdy morskie, czyli tak zwane Meduzy, leżały jak duże przezroczyste kwiaty na zwierciadlanej fali i cichymi swymi ruchami zdradzały życie w cichej wodzie; powoli znikał także widzialny, zielony grunt piaszczysty, a malec nic już nie dojrzał prócz własnej swojej twarzy, która na jego ukłon równie grzecznym odpowiadała ukłonem. Teraz przeryzali prąd wody i popłynęli w obręb cieniu, który brzegi wyspy rzucają na morze. Ojciec chrzestny uchylił kapelusza, co zdawało się przypadkowem, lecz w samej rzeczy było dawnym zabobonem ojczystym, może ukłonem dla Nöka, którego władza tam jest największa, gdzie cień skały dochodzi do wody.

Przybiwszy do brzegu włożyli wiosła napowrót do łodzi i wysiedli na ląd wyspy. Ojciec chrzestny potajemnie rozmawiał z rybakami, ale Krystyan nie wiedział o co rzecz idzie; zresztą wszystko obce, co tutaj widział, cała naokoło obfitość zająła jego duszę.

Coraz wyżej postępowali teraz między ogrodami i domami; drzewa tu i owdzie stały obarczone owocem, a duże pale podpierały uginające się pod swym ciężarem gałęzie. Dziki chmiel wił się wesoło przez płoty, a głęboko pod wzgórzem stała

chałupa słomą kryta, gdzie patyki do chmielu tak były ustawione w porządku symetrycznym, że po części spoczywały na dachu, a zaś chmiel, jakby najobfitsze winne latorośle, zdawał się tworzyć gęste altany z bogatych w liście gałęzi. Przed każdym domem był ogródek kwiatowy; malwa wysoko sypała gęstym kwiatem, żółtym czy czerwonym; skwar był zato nierównie większy niż w otwartym polu. Obcy, przeniesiony z nienacka w to ciepłe powietrze i w tę obfitą wegetację, mniemałby, że znajduje się w kraju południowym; Sund Swendborgski przypominałby jemu niezawodnie okolice Dunaju. Prawda! tu było lato, piękne lato! Naokoło dzika mięta woniała w rowach, ocienionych czerwonym berberyzem i okwitłymi bzami.

– To będzie gorący spacer – rzekł ojciec chrzestny, lecz zarazem pocieszał się tem, że spotkają pewno jaki wózek, co ich zabierze.

Ani jednej chmurki nie było na niebie. Ptak drapieżny podleciał w górę i leniwym, głuchym ruchem skrzydeł powlókł się ponad lasem. Zdawało się, że cały upał dnia spoczywa na grzbiecie tego ptaka. Ojciec chrzestny był w nadzwyczajnym humorze: dla Krystyana z łodygi trzciny wyciął donośną trąbkę, potem gałązkę bzu pozbawił rdzeni i wyborną z niej zrobił piszczałkę. Wszystko to odbywało się w drodze i podczas najbardziej urozmaiconej rozmowy.

Teraz zaturkotał powóz, przed którym kurzawa leciała podobna do dymu po wystrzale armatnim; rzekłby kto, że stanęła i zawisła w powietrzu. Wózek zatrzymał się, oni wsiedli,

a Krystyan dostał nawet duży liść kapusty, pełen czarnych, soczystych wisien; było podarunek od chłopca, który zdawał się znać dobrze ojca chrzestnego.

Za chwilę przybyli jeszcze do nich dwaj towarzysze podróży, ale konni.

Na spokojnych wysepkach duńskich nie znajdziesz żadnych rozbójników, a jednak dwaj nowi przybysze mieli pozór cokolwiek podejrzany. Każdy z nich w kieszeni bocznej miał pistolet, a strzelbę nabitą w rękę. Chłopcu kazali, żeby stanął i spojrzeli na niego dziwnie badawczym wzrokiem; przetrząśli następnie słomę w wozie, a gdy nic w niej nie znaleźli, wybąknęli coś nakształt przeproszenia i odjechali szybko, tak jak przyjechali.

Podczas całej tej rozprawy ojciec chrzestny był jak najzupełniej obojętnym; chłop tylko uśmiechał się szyderczo.

– Jak na ten raz, – rzekł – nic nie ułowili.

– Ciężkie to musi być życie, – odpowiedział ojciec chrzestny.

– W lecie to jeszcze jako tako; ale kiedy wiatr północny zahuczy nad morzem, niebardzo to chyba miło, całą noc przeleżeć w drodze, a to jedynie dlatego, żeby służyć za błazna rozumniejszym ludziom. Zresztą pilnujcie się, Jędrzeju, bo widać na was już mają oko! toć i ja, – dodał z uśmiechem, – mógłbym się dostać na złe języki, że z wami się zabrałem.

Kto byli ci ludzie? Czego szukali? Całe to zdarzenie długo zajmowało Krystyana; lecz wkrótce wyszło z pamięci pod nawalem coraz nowych zjawisk, którymi dzień ten był

przepełniony. Ujrzał znowu stary zamek w Thorseng, gdzie raz już poprzednio był ze swymi rodzicami. Był to największy budynek, jaki widział kiedykolwiek, większy nawet niż kościoły w Swendborgu, ale znał go tylko zewnątrz i chyba tylko przez szyby zajrzał kiedy doń w środek. Teraz jakoś tak się trafiło szczęśliwie, że właśnie byli podróżni, którym pokazywano całe wnętrze; więc wraz z ojcem chrzestnym wszedł na wysokie schody, przebiegł długie korytarze i ogromne komnaty. Spoglądały na niego liczne portrety minionych pokoleń, obrazy ludzi, których śmierć oddawna już obróciła w pył i ziemię; do każdego z nich wiązały się jakieś klechdy i legendy, które takim starym malowidłom nader efektownego udzielają oświetlenia, podobnego do blasku pochodni przy posągach marmurowych. Portret tryskającej życiem i zdrowiem kobiety, uśmiechającej się w samowiedzy swej piękności, jakimże nas żalem przejmuje, gdy wspomniemy, że już stulecia minęły, odkąd przestała cieszyć się tem życiem!

Za żadne skarby świata Krystyan nie byłby chciał przenocować w starym baldachinowym łóżku, z szeleszczącymi, jedwabnymi firankami; w nocy niezawodnie obrazy wystąpiłyby z ram i z obić, a Niels Juul<sup>8</sup> z mieczem w ręku byłby zasiadł na pstrym fotelu z wysokimi poręczami. Nawet duże zwierciadła, w których można się przejrzeć od stóp do głowy, miały coś tajemniczego dla malca, który zwyczajny był przeglądać się tylko

---

<sup>8</sup> *Niels Juul* – sławny admirał duński, pogromca Szwedów w kilku stanowczych bitwach. [przypis tłumacza]

w lusterku ojca przy toalecie od golenia.

Dlatego też oddychał daleko lżej, gdy stanął znowu w otwartym powietrzu, a podwójnie ucieszył się, gdy przyszedłszy do chaty rybackiej nad brzegiem, otrzymał od gospodyni swobodny użytek z całego krzaku agrestu, zaś dzieci jej pokazały mu okręt, wyrobiony z dreпки ojcowskiej, zdobny pawilonem i masztem, który płynął na słonej wodzie tak samo jak inne najlepiej uzbrojone statki. Duży, świecący owad przeleciał przypadkiem koło małego okrętu, usiadł na szczycie wzdętego żagla i trzepotał jaskrawymi, przezroczystymi skrzydełkami. Był to żywy passażer, którego mieli na pokładzie, a uniesione radością dzieci, skakały i klaskały w dłonie.

Tuż pod Thurö stał mały statek, jakiego używają do handlu między wyspami duńskimi; ojciec chrzestny wsiadł w czółno i popłynął do ludzi na tym statku, z którymi miał dużo do mówienia. Krystyan pojechał z nim razem.

Morze było spokojne; słońce paliło żarem.

– Teraz i ty dostaniesz się do wody, – rzekł chrzestny. – Dziś aż zapomnieli zabronić nam tej satysfakcji, bo myśleli, że to tylko przejażdżka lądowa.

Krystyan uśmiechnął się; rad on był popływać w tej jasnej, świecącej fali, bo w domu pozwolono mu tylko zdjąć pończochy i wejść do wody po kolana.

– To inna kąpiel, jak stać w domu w balii od prania i czekać, aż kiedy ci matka naleje na głowę kubek wody. Teraz zdejm suknie, mój gołąbku!

Krystyan rozebrał się. Wkrótce i Norwegczyk stanął w całej okazałości atletycznej swej postaci, podniósł małego i posadził go sobie na barana. Był to istny obraz świętego Krzysztofa z dziećciem.

Nagle coś silnie plusnęło do wody i fala zamknęła się nad nimi; a gdzie znikli w głębi, tam wyskoczyły tylko bańki i rozchodziły się coraz szersze pierścienie. Po chwili ukazała się znowu ciemna twarz ojca chrzestnego; czarne, świecące włosy spadały mu na twarz i na czoło, tylko Krystyana widać nie było, bo się w szalonym skoku zsunął z ramion. Spozrzegł to natychmiast ojciec chrzestny i jednej też chwili zanurzył się znów do wody, uchwycił chłopca i wypłynął z nim razem na powierzchnię morza. Z ust leciała małemu słona woda i biedny zaczął płakać.

– Wstydz się! – rzekł chrzestny i udawał, że wszystko tak jest, jak być powinno; ale puls jego bił gwałtowniej niż zwykle. Dobrze jeszcze, że się tak skończyło; w każdym razie o tem nie myślał, żeby jeszcze tego samego wieczora czekała nań druga, jeszcze ważniejsza awantura.

Widok z wieży kościelnej w Breininge ze wszystkich na tej wyspie jest najpiękniejszy; jakoż i tutaj, jak we wszystkich podobnych licznie zwiedzanych miejscach, leży księga, do której podróźni zapisują swe nazwiska, zwykle z jakim lichym wierszykiem lub dowcipem, który najczęściej bawi tylko samego autora.

Czasy były wojenne i dlatego na samym szczycie wieży

urządzono telegraf, z którego czarne tablice magicznie przez powietrze szeptały swoją martwą, a jednak znaczenia pełną mową. Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy ojciec chrzestny wraz z Krystyanem wchodzili na wieżę, żeby odwiedzić nowego nadzorcę telegrafu.

Cieśnina, wyspy i port, jak mapa geograficzna leżały rozpostarte przed ich wzrokiem. Z tamtej strony wysp Thurö i Langeland, które jak kwatery z kwiatami stały na wodzie, widać było z daleka wyspę Zelandyę. Kilka żagli przerzynało powierzchnię morza; inne okręty stały na kotwicach, a łodzie rybackie kręciły się tu i owdzie w zatoce. Wszakże więcej nad wszystko, czarne tablice ściągały na siebie uwagę Krystyana. Toż on wiedział że umieją mówić, jak mówią głuchoniemi; toż widział jak spuszczają się na dół, jak wznoszą do góry i najrozmaitsze przybierają kształty.

Chrzestny siedział przy nakrytym stole, a Krystyan bawił się z wesołemi dwoma synkami nadzorcy telegrafu. Wyszli z izby, bo chcieli się bawić w chowanego.

Krystyan skrył się do dziury w murze, którądy można było dostać się do dużych dwóch dzwonów będących w tej wieży. Między dzwonami na podłodze leżała ogromna, ciężka belka, prowadząca do otworu w przeciwległej ścianie, przez który słońce ciskało długie swoje promienie, a atomy pyłu grubym słupem obracały się naokoło swojej osi. Przez ów otwór chyba można było wyrzeć na świat; będzie to jedna zabawa więcej, pomyślał chłopczyk, a tamci tymczasem niechby go szukali.

Przeskoczył tedy przestrzeń wzdłuż belki między dzwonami, i w istocie ujrzał przed sobą całą wyspę i port, gdzie stały statki. Już usłyszał za sobą jednego z chłopców, co go szukał, wścibiającego głowę przez dziurę, którą sam wlaźł przed chwilą i zaglądnącego czy go nie ma.

– Czy tu jesteś? – zapytał. – Tu nam wejść nie wolno; dzwony mogłyby nas zabić.

Krystyan nic nie odpowiedział. Alboż się miał dać nastraszyć? Toć dzwony wisały spokojnie, jak gdyby wmurowane. Zresztą i tak nie byłyby mogły dostać aż do niego. Chłopiec szukający odszedł.

Słońce schyliło się do widnokregu i zdawało się, że mu jeszcze pilno, by zniknąć jak najprędzej. Krystyan widział wyraźnie jak usuwało się coraz niżej, aż w końcu zupełnie zeszło z oczów; zmrok wieczorny rozpostarł się; spojrzął na duży dzwon, który wisiał przed framugą otworu. Raptem dzwon zadrżał i lekko się poruszył; teraz chciał odejść, lecz w tej samej chwili dzwon podniósł się wyżej i cały jego kielich odwrócił się ku chłopcu. Przestraszony cofnął się i przycisnął do muru. Pierwsze uderzenie dzwonu odezwało się w uszach Krystyana.

Tu, równie jak we wszystkich wiejskich kościołkach w Danii dzwoniło na zachód słońca; nikt nie mógł się domyśleć, że wysoko w dzwonnicy znajduje się ludzka istota.

Jakby instynktem uczuł, że gdyby tylko o jeden krok posunął się naprzód, dzwon głowę jego zdruzgotałby na miazgę. Głośniej i coraz głośniej zagrzmiały uderzenia kruszcowego olbrzyma;

drżące powietrze i przestrach gwałtowne na nim uczyniły wrażenie; pot strumieniami lał się z całego jego ciała. Nie śmiał się już odwrócić, oczy słupem wlepione były w próżny dzwon, ile razy tylko rycząc zbliżał się ku niemu. Krzyknął pomocy, ale go nikt nie dosłyszał; czuł że głos jego nie ma dźwięku w obec uderzeń dzwona.

Do głębi przejęty, widział w dzwonie ogromną paszczę węża; serce zdawało się językiem, co do niego syczał. Pomieszane obrazy tłoczyły się w jego duszy, – wrażenia podobne do tych, jakich doznał, gdy go chrzestny ojciec zanurzył w wodzie, tylko że teraz jeszcze gwałtowniej szumiało mu w uszach, a mieniające kolory jednoczyły się w straszliwych postaciach. Stare obrazy zamkowe przesuwwały się przed jego oczami, ale twarze ich teraz były groźne, kształty ustawicznie zmienne: raz długie i kończaste, raz przezroczyście, galaretowate i drżące. Postacie te biły w bębny i w kotły, później nagle przeszły w ów blask ognisty, w którym wszystkie przedmioty jemu ukazały się, gdy bawiąc się z Naomi spojrział przez purpurową szybę. Czuł tedy, że się pali; płynął przez morze płomieni, ale zawsze przed nim z roztwartą paszczą pływał wąż i wykręcał syczącym językiem. Uczuł dziwny, konwulsyjny pociąg, by porwać oburącz za serce dzwonu, kiedy nagle wkoło niego ucichło, chociaż w głowie ogromny szum trwał ciągle z tą samą co dotąd gwałtowną i straszną siłą. Czuł, że suknie przylepiły się jemu do ciała, a obie jego ręce były jak przykute do ściany. Przed nim wisiał nieżywy łeb węża, a duży dzwon milczał; chłopiec zamknął oczy i czuł,

że zasypia. Było to omdlenie.

Pierwsze jego przebudzenie było jakby snem, ale snem przykrym i brzydkim. Wszystko otaczające go było w ciemności, bo też inaczej być nie mogło, skoro sam leżał w brzuchu ogromnego węża. Wąż ten jednak go połknął, a więc nie umarł jeszcze; owszem, czuł wszystkie jego ruchy, czuł jak się z nim przewraca, jak ściska jego członki, jak się wysoko wspina i znowu spada na ziemię. Gwałtowna to zaprawdę była walka!

– Dajcie mu klucz w usta! – zawołał ktoś, ale gdzieś bardzo daleko. Głos ten już przebrzmiał, a zarazem skończyły się także straszne jego widzenia; przebudził się i uczuł niezmiernie znużenie.

Obca jakaś kobieta i ojciec chrzestny stali nad nim; on zaś leżał w łóżku.

Skoro tylko dostrzeżono, że go nie ma, zajęto się wyszukaniem go i znaleziono w dzwonnicy. Gwałtowne spazmy, albo właściwiej mówiąc, jakieś napady epileptyczne, których dawniej nie miał nigdy, pierwszym były następstwem przestrawienia. Teraz już znowu przyszedł do siebie, tylko że go bolały oczy. Najdokładniej pamiętał wszystko, co się stało.

– Niech P. Bóg strzeże jego rozumu! – rzekła kobieta.

– Baty powinien dostać! – rzekł ojciec chrzestny, – baty takie, żeby mu krew leciała przez plecy!

– Zapewne, moi chłopcy już za swoje dostali, – powiedziała kobieta; – chociaż Bóg widzi! że oni zupełnie są niewinni.

Dano Krystyanowi obwarzanek z miodem, żeby się posilił i

odświeżył humor. Ojciec chrzestny wziął go na plecy i poniósł do brzegu, bo koniecznie jeszcze tegoż wieczora chciał być w domu. Światła w Swendborgu jaśniały przez zatokę; na dole przy brzegu stały czółenka rybackie z ognikami rozpalonemi do połowu węgorzy; każdy wietrzyk spoczywał w chłodnej nocy.

## VII

Wiara ludowa twierdzi, że pyłek kwiatowy berberysu jest trucizną na zboże i że ciężkie kłosa śniedzieją od gryzącego jego soku. Najszlachetniejszy mak, białością jaśniejący, po roku zmienia barwę, skoro ciągle przebywa pomiędzy makiem pстрыm i czarnym. Otoczenie – oto niewidzialna ręka, która każdy pierwiastek przekształcić może w swym rozwoju.

Kiedy snycerz zaczyna formować bryłę gliny, nie zaraz pojmujemy, jakie dzieło z pod ręki jego wyjdzie. Czasu potrzeba i pracy, zanim powstanie odcisk z gipsu, a według niego następnie zanim pod uderzeniem dłuta ożyje cios lub marmur! O ile trudniej być musi, z człowieka w wieku dzieciennym czynić wnioski o jego rozwoju i wartości na przyszłość! Widzimy tu ubogiego chłopczyka w Swendborgu; instynkt wewnętrzny i wrażenia zewnętrzne, jakby igła magesowa wskazują w nim tylko dwa kierunki zupełnie sobie przeciwne. Albo stanie się rzadkim artystą, albo nędzną, obłąkaną istotą. Kwiatowy pyłek otoczenia już zaczyna nań działać barwą i wonią.

Bożek tonów ucałował go jeszcze w kolebce, ale czy śpiew bogiń czasu sprowadzi mu natchnienie, czy też obłąkanie? Granica między jednym a drugim niekiedy zaledwie jest widzialną. Czy kiedyś może wznieci podziw tysięcznych tłumów, czy też w nędznej karczmie, ze skrzypcami w rękę, jako staruszek zagra przed dziką, nieokrzesaną młodzieżą, co go

nazwie nawpół waryatem z wiecznymi marzeniami, chociaż dusza jego niezatarte na sobie nosi piętno tonów?

O księciu Reichszadzkiem wiadomo, że nieżywy przyszedł na świat. Napróżno używano wszystkich środków, by go przywołać do życia; w tem zagrzmiały sto jeden wystrzałów armatnich, a on otworzył oczy i serce bić zaczęło. Był to syn wielkiego cesarza, dlatego też cały świat dowiedział się o tym wypadku; ale nikt nie wiedział o podobnem zdarzeniu syna ubóstwa. I on także był umarłym, nowonarodzonym umarłym; już leżał na stole obok zbitego okna, w tem raptem zabrzmiały na ulicy flety i skrzypce, na których zagrali wędrowni muzykanci; śpiew kobiecy odezwał się smętny, lecz silny, a mały otworzył oczy i ruszył rączką. Czy w istocie tony odwołały jego duszę, by działała tu na ziemi, czy też był to jedynie przypadek, ów miecz Salomonowy rozumu ludzkiego?

Rzadkim musi zostać artystą, albo nędznym partaczem, krogulcem ze złotem piórem w skrzydłach, którego inne krogulce dziobami za to na śmierć zasięka. A gdyby został takim? Jakaż stąd dla niego pociecha? Jakaż pociecha dla ludzkości z sercem pełnem dumy? Zgaśnie on i zapomną o nim, jak gasną płatki śniegu, wpadające do bystrej rzeki; tylko pojedynczych dzieła i nazwiska w potomne przejdą stulecia. Los to godny zazdrości! Ale w tem nowem życiu może przyszłe na nas czekają uciechy, a daleko już ztamtąd będzie do szczęścia jego sławy, w której samo udziału nie otrzyma. Cóż bo z tego jak wysoko stoimy, abyśmy tylko stali dobrze! taka jest

zwykła pieśń pociechy tego świata, taka pociecha wielkiej fali człowieczeństwa, co bezustannie płynie naprzód do brzegów wieczności.

Po sękach jodły poznajemy wiek drzewa; życie ludzkie także ma swoje widzialne jakby stawy. Ważnym punktem przejścia, niejako głównym momentem w dzieciństwie Krystyana, były tego lata znajomość jego z Naomi, lekcje muzyki i wycieczka do Thorseng.

Tak samo jak kwiat kielichem swoim odwraca się za słońcem, tak dusza jego tęskniła za tonami. Muzyka organów ciągnęła go do kościoła; prosty chóral był dla niego *miserere* Allegra. Zazdrościł więźniom w ratuszu, którzy w urodziny króla i królowej ze swego więzienia całą noc słyszeli muzykę nad sobą, na górze, gdzie tańczono. Im większej nerwy jego nabierały drażliwości, tem ucho jego otwierało się bardziej mowie tonów. Nieszczęśliwe napady spazmatyczne wracały coraz częściej i zostawiały po sobie dziwne drżenie w powiekach, jakiś ból w samych oczach, gdy tymczasem wszystkie przedmioty ukazywały się jemu w najrozmaitszych i ustawicznie zmiennych barwach. Ciało jego słabło, a życie duszy było bujaniem pomiędzy wyobraźnią, a marzeniem. Na taki umysł ciągnęła tęsknota ojca za dalekimi krajami i dziwactwo Norwegczyka podobne czyniły wrażenie, jak powietrze i woda w dolinach kretynów na dzieci tamże zrodzone i chowane. Jedno tylko życie szkolne swoją surową i rozsądną przewagą byłoby mogło choć w części ochłodzić owego **syrokka** fantazyi, który nużył umysł

i ciało, – ale w owym czasie w całym miasteczku nie było jeszcze porządnej szkoły. Jakiś poczciwy staruszek, pan Sevel, ze swoją głuchą małżonką, byli jedyni w Swendborgu trudniący się nauczaniem, w którym to celu obrali sobie mieszkanie w starym budynku klasztornym, rozwalonym już dzisiaj wraz z szczątkami obocznego kościoła.

Wszędzie, w północnych zarówno jak w południowych krajach, zakonnicy umieli na klasztory obierać najpiękniejsze okolice. Blisko zatoki leżał tu klasztor szarych braci, a z okien jego widok wychodził na Thorseng i Thurö; sklepiona komnata, w której niegdyś może był refektarz, teraz została salą szkolną, a w małej framużce, gdzie może sławnego dłuta stał posąg, teraz leżała różga nauczyciela i pończocha jego żony. Na sklepionym suficie, pod którym teraz na ławkach i stołkach siedziało młodsze pokolenie z luterskim katechizmem, malowidła wyobrażające Matkę Boską i mnogich Świętych Pańskich sięgały wprawdzie czasów przedluterskich, ale tem większe za to budziły zajęcie. Nieliczne i wąskie okna siedziały dość wysoko, tak iż nie było się co dziwić, że kiedy pan Sevel lub pani nauczycielka wyszli na chwilę, młodzież wskakiwała na stoły i ławki, żeby wyjrzeć na zielony bór i duże statki.

Tuż przy szkole stał stary, opustoszały kościół klasztorny, z którego znikły ołtarze i nagrobki, lecz na ścianach którego widać było jeszcze na wpół zamazane obrazy *al fresco* z napisami naokoło w mniszej łacinie. Na korytarzach leżały jeszcze grobowe kamienie, okna były potłuczone, szpary w murach

porosły mchem i trawą, a tam gdzie dawniej wisiał ogromny, mosiężny pająk, teraz jaskółka ulepiła sobie gniazdeczko. Jeszcze wyrazy: *Jesus hominum Salvator* w żelaznym nadpisie można było wyczytać na starych drzwiach kościelnych, które otwierano niekiedy, a jeśli wówczas młodź szkolna była blisko, wpadała z wandalicznym krzykiem, który zbyt dziwnie odbijał się silnem echem.

Na Krystyanie kościół wcale inne robił wrażenie; jakoś w nim stawał się zamyślony i smutny, chociaż przekładał go nad wszystkie inne miejsca; tu bowiem obfity był pokarm dla jego marzeń, a świat podań i duchów w bliższem był z nim zetknięciu. Nieraz tak długo wlepiął wzrok w owe zblakłe obrazy, że mu się zdawało, jakoby ich oczy poruszały się; nieraz tak długo klęczał na kamieniach grobowych i syllabizował napisy, że mu się zdawało, jakby umarli stukali w te kamienie i odpędzali go. Jeżeli trawka przy rozbitych oknach zadrżała pod przeciągiem wietrzyku, albo jeśli jaskółka przelekła przeleciała pod sklepieniem, wówczas on myślał o niewidzialnych duchach, jakoby bawiących się długimi trawkami, lub wyganiającemi ptaszki z swych sypialni.

Ciało słabło; napady epileptyczne pojawiały się coraz częściej. Nie szukano pomocy lekarskiej, bo lud rzadko kiedy wierzy w lekarzy, a zresztą to kosztuje pieniądze. Marya utrzymywała, że zachorować można już z tego samego paskudztwa, które doktor zapisuje z apteki. Na wszystkie też wewnętrzne choroby jedno miała lekarstwo radykalne: jałowiec nalany wódką, który

zarazem wzmacnia i rozpędza. Tego lekarstwa dostał także Krystyan.

Czas uciekał, a choroba nie polepszała się. Najlepiej będzie, mówiła Marya, poradzić się mądrej kobiety w Kwerndrup, ale tylko tak, jakby od niechcienia albo przy okazji. Kobieta przysłała i podała niektóre środki sympatyczne. Nicią wełnianą zmierzono jege ręce i nogi; przewiązano mu na dołku sercowym nieco poświęconej ziemi i serce kreta; to wszystko miały być środki niezawodne.

Tak mijały dni i tygodnie i blisko dwa lata. Mądra kobieta radziła udać się do źródła Frörup, które pomogło już w niejednej chorobie, kiedy najlepsi powątpiewali doktorzy; Marya wierzyła w jego skuteczność, jak w słowa Pisma Świętego. Po dzień jeszcze lud w Danii zachował podanie, przypisujące niektórym źródłom jakąś wielką świętość; i tak, mieszkańcy Fyonii uważają źródło Ś. Reginy, blisko wioski Frörup, za nadzwyczaj skuteczne; ponieważ zaś połączono z niem tak zwany jarmark źródlany, przeto tłumy gromadzą się tam w wielkiej massie. Z kilkomiłowego okręgu, nawet z tamtej strony Odensee i Swendborgu, przybywają tu chorzy w wilją Ś. Jana, piją wodę źródlaną, kąpią się w niej i nocują pod gołym niebem. Przez trzy lata z kolei chory zwiedzać powinien to źródło; jeśli go i to nie wyleczy, tak twierdzi wiara ludu, wówczas nic mu już nigdy nie pomoże.

– Jedźcie tylko do źródła! – powiedziała ich wyrocznia. – Jedźcie do źródła, a przekonacie się, jaka zajdzie zmiana!

Słowa te mimowolnie stały się prorocstwem; nie tylko bowiem chłopca, ale całą rodzinę czekała w tej podróży nader wielka zmiana. Nieraz później już mawiała Marya: – Zapewne! gdybyśmy wtenczas nie byli pojechali do źródła, może wszystko byłoby poszło inaczej! – Może? A ludzie jednak mają wolną wolę.

Marya była zdania, że koniecznie wypada dla chłopca pojechać do źródła; byłoby to bowiem zbyt wielką odpowiedzialnością przed Panem Bogiem, gdyby zaniedbać coś podobnego. Wiara męża była mniej silna, ale kontent był z dobrej sposobności wydobycia się na świeże powietrze. Sierżant, jego przyjaciel, właśnie na kilka dni był w mieście, bo pułk jego stał w Odensee<sup>9</sup>.

Z Swendborga cztery mile do źródła Ś. Regissy, leżącego tuż przy trakcie głównym, tak iż matka z synem pojechać mogli wracającym tamtędy do Nyborga **landkuczerem**; dwaj przyjaciele poszli pieszo, bo to im zostawiało swobodę wybierania najpiękniejszych ścieżek przez łąki i bory. Malarz może nam wprowadzić przedstawić grę kolorów w pięknym dniu wiosennym, nawet może dać poznać ciepłe powietrze, ale nie potrafi odtworzyć piękności aromatycznej, która równą nam sprawia przyjemność, jak kształty i kolory przedmiotów, owej woni bżów i akacyi i zielonych liści na krzaczkach dzikiej róży. Ptaszki świergotały, a krawiec wtórował im rozlicznymi pieśniami, których nauczył się niegdyś w obcych krajach, i

---

<sup>9</sup> *Odensee* – stolica Fyonii. [przypis tłumacza]

opowiadał o szczęśliwej wędrowce nad brzegami Po i Tybru.

– Patrzcie! bocian leci! – zawołał. – Ach, biedny mój bocian już pewno nie powróci! Albo umarł ze zmartwienia po śmierci samicy i młodych, albo też podróżuje jeszcze, żeby się rozerwać i zapomnieć! Boże przebacź! mnie się zdaje, że na wędrowce zapomnąć można o każdej największej stracie.

– I mnie się tak zdaje – rzekł sierżant. – Dlatego też bo ja nigdy nie chciałem powiedzieć wszystkiego co myślę w przytomności waszej żony, żeby czasem do mnie żalu nie miała, – dlatego też powinniście dostać z jakie tysiąc talarów, bo tyle dziś dałby nie jeden syn gospodarski, aby pozostał tylko w domu, a ktoś przecież musi go zastąpić. Za te pieniądze, którebyście dostali, Marya z chłopcem mogłoby być wygodnie! Zostalibyście podoficerem i dostalibyście się znowu do obcych krajów, a toć o tem tylko marzy wasza dusza. Czasy teraz niespokojne, żołnierz nie może wiedzieć gdzie mu przeznaczono, a do Francyi jemu nie dalej niż do Niemiec.

Krawiec potrząsał głową: – Marya nigdyby na to nie przystała! – rzekł i dodał na wpeł smutno: – Zresztą i ja wątpię, czybym się mógł z nią rozstać. Nie! o tem nie ma co myśleć.

Szybkim krokiem szli naprzód do wioski Broholm. Liście drzew były przezrocyste, fijołki rosły całemi krzaczkami, brzegi boru kwitły różnem kwieciem, a pomiędzy drzewami widać było Wielki Bełt i wyspę Langeland, która ze swemi lasami i wiatrakami wznosiła się wysoko nad morze.

W „Listach nieboszczyka” księcia *Pückler Muskau*<sup>10</sup>, parki i wille Anglii cudownym jakby sposobem stają przed naszymi oczyma i widzimy wyraźnie owe aleje starych, dużych drzew, któredy się zajeżdża do pałacu. Taka sama aleja prowadzi także do Broholmu. Wszystkie poezye **Wilhelma Müllera** są małemi rodzajowemi obrazkami; widzimy w nich jak się obracają koła młyńskie, a woda jak na największe spada koła; podobny młyn stoi tuż przy wspomnianej alei, ale tak głęboko, że piękna młynarka aż główkę podnosić musi do przejeżdżających tą drogą. W naszych własnych duńskich podaniach doszły nas wieści o cichych jeziorach, w środku których sterczały niegdyś kępy ze starymi zamkami rycerskimi, ale dziś kępy znikły, a łabędź płynie nad szczytami wieży. Takie same jezioro leży tuż przy alei i młynie, ale kępa sterczy jeszcze ze starym zamkiem; wielka okrągła wieża z miedzianym dachem i wieżą przegląda się w jasnej wodzie to jest Broholm; jeszcze widać w wieży strzelnicę, jeszcze woda przezroczysta i świeża płynie przez podwójne rowy.

W sklepionej komnacie służebnej, podpartej grubemi murowanemi filarami, siedzieli dwaj nasi podróżni przy dużym stole, na którym każdy ze sług nożem wrył swoje nazwisko. Był zaś z nimi jeszcze gość trzeci, młody chłop z Örebäk, brat pierwszego konkurenta Maryi.

Po dziś dzień jeszcze zewnętrzny pozór zamku pozostał

---

<sup>10</sup> *Listy nieboszczyka – Briefe eines Verstorbenen*, najlepszy utwór słynnego podróżnika niemieckiego. [przypis tłumacza]

niezmieniony. Rogi jelenie przystrajają drzwi strzelca, a wejście do pańskich pokojów prowadzi przez wysoką wieżę, tam gdzie kręcone schody poukładane z potężnych jednej na drugiej belek prowadzą do samego szczytu. Wzdłuż muru ogrodowego w środku zamczyska dziś jeszcze zielenią się szeregami stare, kwitnące lipy.

Przy każdej pamiętce dawnych czasów krawiec wspominał wszystko, co już w życiu swoim widział podobnego za granicą, i ciągle przytem robił swoje postrzeżenia porównawcze. Tak pyszne lipy widział tylko w jednych Czechach, w owych długich, cienistych alejach, gdzie wędrując śpiewał hożą *Krasna holga!* Sam ów stary budynek z wysoką wieżą zdawało mu się że widział gdzieś daleko, nad Dunajem, gdy statek wesoło bujał nad przepaściami i wirami. Nawet chłodne sklepienie, pod którym teraz siedział między grubemi filarami, przypominało mu komnaty klasztorne. O czem zaś serce myślało to plotły usta, czy to drugich bawiło, czy nie.

– A to się wybierz znowu w drogę – odezwali się drudzy.

– Mamci ja teraz włożyć czerwony spencer<sup>11</sup>! – rzekł młody wieśniak; – za miesiąc podobno mamy wyruszyć w drogę; ale mam chęć i możność kupienia w swoje miejsce zastępcy! Tysiąc talarów w papierkach wyliczę na jednym stole, jeżeli macie ochotę!

Tysiąc talarów w papierkach! jakaś woń spoczywała w tych

---

<sup>11</sup> *Mamci ja teraz włożyć czerwony spencer...* – mundury wojska duńskiego są czerwone. [przypis tłumacza]

białych karteczkach, woń mogąca napełnić serce marzeniami o czarodziejskich skarbach. Biedny krawiec podniósł oczy i spojrzął przez okna na zielone wierzchołki drzew lipowych. Czy te zielone liście, czy białe, silniej wpłynęły na jego biedne serce?

Przed dworem, niedaleko kuźni, stoi dziś jeszcze potężny pień starego dębu. W owym czasie drzewo to było jeszcze całe; duży krzyż żelazny, zabytek przedreformacyjnych czasów, przymocowany był do drzewa. Kiedy w 1808 roku Hiszpanie byli w Fyonii, dąb ten był dla nich świętym krucyfiksem przy drodze, ołtarzem pod otwartym niebem, przed którym klękali i swoje odbywali nabożeństwo. Popalone od słońca marsowe postacie leżały tu na świeżej trawie i pełne ufności wlepiały ciemne swe oczy w święte znamię; ksiądz stał na ich czele, a śpiew zabrzmiał w obcym, melodyjnym języku.

Teraz dąb ten nie był już tem, czem był dawniej; piorun przed rokiem przerwał jego siłę żywotną i już tylko jedna zielona gałązka sterczała obok innych suchych i bezlistnych. Dla naprawienia drogi miano nawet zupełnie sprzątnąć stare drzewo; już topór głęboko przeciął jego sęki, a pień obwiązano długą liną i w należytej odległości zaprzągnięto do niego parę koni. Za chwilę dąb miał upaść.

Krawiec z towarzyszami podróży stanął na drodze, gdy powożący trzasnął z bicia i konie z całej siły szarpnęły po raz pierwszy. Stare drzewo zatrzęśło suchą koroną, lecz jeszcze nie obaliło się. Jedno jeszcze szarpnięcie, a z potężnym łoskotem i głuchym jękiem powaliło się na ziemię, a wykręcając się w

upadku, odwróciło na wierzch stary swój krzyż żelazny. Tak runął wspaniały trup dębi ze znakiem orderowym na piersi!

Sierzant zauważył mniej więcej to samo. Krawiec zamyślony wlepił wzrok w ziemię; coraz jaśniej pojmował teraz, co mu tak chodziło po głowie: – Z honorem poledz w bitwie, najlepszą musi być śmiercią! A zresztą nie koniecznie każdemu umierać! Ach! gdyby Marya myślała tak samo!

– No i cóż, czynie spróbujem szczęścia? – zapytał sierżant. – Życie na otwartym powietrzu, to co innego, niż siedzieć w domu na stole. Dziś rano po raz pierwszy w tym roku widzieliście latającego bociana; to znaczy, żebyście wy także puścili się w drogę.

Krawiec milczał.

W poprzek drogi leżało stare, ogromne drzewo, w którego wierzchołku bocian od wieków stukotał swą ewangelię o gorących dniach letnich. Stary dwór odbijał się w wodzie; pozór z rzeczywistością tworzyły całość dziwnej piękności. Miejscowość i otoczenie działały tu na duszę marzącą, jak smyczek fizyka na szklaną tablicę, na której pełne znaczenia powstają figury akustyczne.

Stalaktyk, skrzydełka motyle i latające chmury, wszystkie mają swoje hieroglify przyrody, których rozwiązanie nie jest dane człowiekowi, a które jednak zwiastują siłę rozwijającego się świata. Tak samo i serce ludzkie miewa niekiedy podobne jakieś znaki, których samo pojmować nie jest zdolne. Niewidzialny sternik zapisuje w niem swoje: *Mene, mene, tekel ufarzin*, a

powstaje stąd konieczność, i najbliższym jej skutkiem jest niepojęte: **Muszę!**

– Czy słyszeliście kiedy o górze Wenery? – spytał marzący, – o której tak często mówią w starych podaniach? Niejeden zacy rycearz, nawet biedny rzemieślnik z tornistrem na plecach wszedł do tego czarodziejskiego kraju, z którego wszelako nigdy nie powróci; jeśli zaś wydarzyło się trafem, że pojedynczy wędrownik wydobył się z góry i powrócił do swoich, tedy już nigdy jakoś nie był spełna, trapiła go tęsknota i albo znowu wrócić musiał do niej, albo umierał. Oczywiście jest to tylko bajeczka, którą wymyślił taki, co się dobrze nachodził po Bożym świecie, a później porzuciwszy wszystkie jego piękności, spokojnie siedzieć musiał w domu. Te pięć lat mojej wędrówki dla mnie też były górą Wenery, boć trudno inaczej nazwać piękność tego świata. Teraz znów jestem w domu i dlatego niespokojny; tęsknota jest moją pracą całodzienną, chęć do podróży poduszką, na której odpoczywam, i byleby Marya chciała – ! ale musi – Oczy jego zaiskrzyły się, uchwycił sierzanta za rękę i zawołał: – Zostanę żołnierzem!

## VIII

Okolo dwóch mil od miasta Nyborg, między wioskami Örebäk i Frörup, leży źródło Ś. Regissy, według podania ludowego tak nazwane od pobożnej niewiasty, której źli ludzie bardzo dokuczali i dzieci nawet zabili; z tego samego więc miejsca gdzie to się stało, wytrysło natychmiast piękne źródło. Długo już po śmierci zacnej Regissy przybywali zdaleka pobożni pielgrzymi, żeby pić wodę z tego źródła, a na świętą, pamiątkę wystawili blisko źródła kapliczkę i zawiesili w niej obraz dobroczyennej patronki. Co rok w dzień Ś-go Boëla odprawiano tam odpust i w wiosce odbywał się walny jarmark; za wprowadzeniem atoli nauki Lutra do kraju, zaniedbana kaplica wnet się rozpadła w gruzy. Tylko źródło dziś jeszcze płynie, a rok rocznie w wilię Ś. Jana przybywają do niego liczni chorzy i zarazem odbywa się tamże sławny jarmark.

Niezawodnie nie co innego, tylko chęć uniknięcia zbyt ciekawych oczów, spowodowała zwyczaj, że ci chorzy całą noc Świętojańską, przepędzić muszą przy źródle. Po zachodzie słońca myją się w wodzie źródlanej i potem urządzają nocleg; równo zaś z brzaskiem rannym zrywają się, najsłabszych prowadzą do domu, a ci których choroba nie jest zbyt dokuczliwą, biorą udział w zabawach jarmarcznych.

We wsi Frörup, gdzie teraz odprawiają jarmark, stawiano namioty i szopy; zewsząd widziano chorych przybywających to

furmanką, to pieszo, a niektórzy z nich już szli przez łąkę, na której płynie źródło między leszczyną a jesionem, ocienione kilkoma dość wysokimi drzewami, na których lud chociaż dziś protestancki, dawnym zwyczajem zawiesza swoją ofiarę, kilka świeczek woskowych. Żywopłoty wokoło są jakby parawanem dla chorych, mających się rozebrać i przemyć, a stare ich suknie stają się jałmużną dla licznie czyhających żebraków.

Marya nadeszła z Krystyanem, niosąc na ręku starą kołdrę i duży surdut swego męża; pierwszą, dla przykrycia nią chłopca, – drugi, by się nim samej odziać w nocy, na wypadek gdyby powietrze było chłodne.

– Ja zostanę przy tobie! – rzekła, – jeżeli zasnę, to dobrze, a jeżeli nie, to i tak nie pierwszy raz, żem czuwała dla ciebie. Tak, dziecko, ty nie wiesz, com ja dla ciebie wycierpiała! Dzieci nigdy nie pomyślą o troskach i niepokoju matki, aż chyba gdy sami doczekają się dzieci! Kiedym cię nosiła pod sercem, ileż nie znosiłam strachu! Życie poświęciłam dla ciebie! Przez długie noce nie zamykałam powiek, tylko chodziłam po izbie tam i napowrót, słuchając twego oddechu; pracować cały dzień, czuwać całą noc, takie było moje przeznaczenie! Wszystko to robiłam dla ciebie, moje dziecko, a gotowam uczynić i nadal, bylebyś ty znowu przyszedł do zdrowia! Ciebie jednego mam na świecie! Niech twój ojciec w imię Boże puści się w świat, skoro nie może być inaczej! – I wybuchła głośnym, lecz krótkim płaczem; ucałowała chłopca w oczy i w usta i zbliżyła się do źródła.

Liczne myśli snuły się jej po głowie. W Örewäk spotkała swego męża z sierżantem i młodym wieśniakiem, bratem jej pierwszego konkurenta, do którego dworku wstąpili nawet i który w pół żartem powiedział, że to wszystko mogłoby należeć do niej. Poczęstowano ich mocnem piwem, miodem i własnego wypieku pszennym chlebem, i powoli przyznano się do zamiaru krawca, wstąpienia w szeregi w zastępstwie młodego chłopca.

– Widzicie, on dla tego jeszcze nie odjedzie! – rzekł sierżant, – tylko tyle że go zapiszą pod numer, – a przy lada sposobności do słów swoich dodawał wzmiankę o nęcących tysiącu talarach.

– Ma on przecież swoją własną wolę, – odpowiedziała Marya. – Ja go nie trzymam! – to było ostatnie jej słowo, ale jej się zdawało, że jej serce z żalu pęknie na tysiąc drobnych kawałków. Nie chciała już zostać ani chwili. – Dość mi takiego podwieczorku! – mówiła. Sierżant z krawcem zostali na noc.

Teraz stała nad źródłem. Kilku chorych zaczęło już swoje kąpiele, inni zajęci byli przyrządzaniem noclegu. Najlepszym z tych noclegów było stare łóżko, przyniesione z pobliskiej chałupy i ustawione między leszczyną; drudzy kontentowali się wiązką słomy, albo pościaniem w bryczkach, którymi przyjechali. Ogień palił się wesoło za niskim wałem z murawy, przy nim gotował się kociołek z kawą i kilku staruszków grzało sobie ręce.

Był to widok taki, jaki dziś z każdym dniem bardziej znika z życia naszego ludu, a cofa nas o wieki w dzieje przeszłości. Gdyby umarli, nad których grobami w katolickiej niegdyś Danii brzmiały pienia zakonników, gdyby mogli z zachodem

słońca powstać z trumien i pobujać nad łąką, uwierzyliby że w Danii wszystko tak samo jak wówczas, gdy zamknęli na zawsze swoje oczy. Poczciwy lud z tą samą jeszcze pobożną wiarą w sercu tłoczył się naokoło świętego źródła, dzwony kościelne przy zachodzie słońca biły jak dawniej, kiedy wzywały jeszcze wiernych do Pozdrowienia Anielskiego, w wiejskim kościółku tak samo uśmiechał się jeszcze obraz Matki Boskiej z Dzieciąciem. Nawet sąsiedni dwór szlachecki, starożytny Örbäk, niezmienny stał jeszcze ze swymi śpiczastymi szczytami i z wysoką wieżą, całkiem odwieczny ów budynek gotycki!

Niedaleko od miejsca gdzie matka kąpała Krystyana w świeżej, zimnej wodzie, stały dwie kobiety z młodą, może trzynastoletnią dziewczyną, nie mającą na sobie śladu żadnej ani ułomności ciała, ani choroby wewnętrznej. Twarz jej miała wszystkie cechy najsilniejszego zdrowia; postać jej była prawie zupełnie rozwiniętą; długie, gęste włosy spływały na białe, pełne ramiona; czerwona zorza wieczorna oświecała twarz wesołą, uśmiechniętą. Najmłodsza z towarzyszących jej dwóch kobiet, jej matka, cały kubek wody wylała na głowę córki; krople jak brylanty jaśniały na szyi i ramionach; dziewczyna potrząsała długimi splotami i zaśpiewała na głos:

Widziałem go – słuchajcie wierni!

Na głowie miał koronę z cierni.

– Tańczcie, o, kwiaty róż!

Starsza kobieta, babka chorej, uklękła i po cichu, złożonywszy

ręce odmówiła **Ojcie nasz!**

Wieczór był ciepły i miły, ale z tamtej strony Bełtu nadciągały ciemne chmury.

Gdzie nieszczęście i nadzieje są wspólne, tam ludzie łatwo zabierają znajomość. Opowiadali sobie tedy wzajemnie o swoich chorych i o skuteczności źródła. – Na wielką chorobę nie pomaga, – rzekła staruszka, lecz wnet jakby poprawiając się dodała: – Aby tylko P. Bóg chciał, toć dla niego wszystko jest możliwe. Jeden zresztą, jest środek taki, który nigdy nie chybił; – i dopiero opisała ów uniwersalny środek ludowy, o którym młodsze pokolenie gotowe pomyśleć, że powstało chyba w mózgu jakiego Eugeniusza Sue, jakkolwiek przed niewielką jeszcze laty w całej Danii w powszechnym był użyciu. Środek ten zasadzał się na tem, żeby nieszczęśliwe dziecko poszło na plac egzekucyi i uprosiło delikwenta, by pozwolił mu napić się jego ciepłej krwi, skoro głowę odłączy od kadłuba.

Maryja zadrżała; – nie, na to nigdyby nie przystała!

Niedługo zabrały się kobiety do urządzenia noclegu. Babka z dziewczynką miały spać w swojej bryczce; maleńkie, wolne u stóp ich miejsce ofiarowano Krystyanowi. Matka dziewczyny z Maryją, plecy oparłszy o bryczkę i nakrywszy głowy usiadły na wiązce słomy.

Wszędzie wokoło panowała cisza; słyhać tylko było pluskanie źródła i głęboki oddech śpiących. Krystyan zmówił wieczorne pacierze, których go nauczyła matka i zamknął oczy do snu; lecz jakoś nie mógł zasnąć. Z pewnym przestraczem

myślał o obłąkanej dziewczynie, której nogi jego dotykały się i która spała snem mocnym i głębokim. Spojrzał w niebo, które wysoko i niewymownie błękitnie, z niezliczonymi gwiazdami zawisło nad nim i wkrótce wpadł w stan pośredni między snem a czuwaniem. Śniło mu się, a jednak wiedział, że to nie sen, sam sobie zdawał sprawę z tego, gdzie się znajduje, bo słyszał jeszcze plusk źródła; jednak gdy obejrzał się wkoło, dostrzegł we wszystkim dziwne podobieństwo z ogrodem żyda, gdzie bawił się z Naomi, tylko że tu wszystko było i daleko szersze i daleko okazalsze. Powietrze rozwidniło się, zdawało mu się, że słyszy jej głos, że go nawet woła po imieniu, ale on nie śmiał się ruszyć, żeby nie obudzić obłąkanej dziewczyny, śpiącej u nóg jego. Teraz okolica przedstawiała widok łagodniejszy i lepiej mu znany; nawet bociana widział, który przelatywał nad jego głową i stukotał, jak gdyby pożywienie przyniósł swoim pisklątom. Przy nim siedziała Naomi; poglądał na jej duże, czarne oczy, a ona rzucała mu najpiękniejsze kwiaty, mówiąc że to pieniądze. Tak się wybornie bawili, a on jak za pierwszą razą dał jej w zastaw swoje usta i oczy, ona zaś zabierała je na prawdę, bo czuł nawet kolący ból i wszystko w około niego ściemniło się, tylko słyhać było jej odjeżdżający powóz.

– Bądź zdrów! – zawołała; – bądź zdrów! – a powóz wysoko uleciał w powietrze. Wówczas powstał, a jakkolwiek paliły go próżne jamy oczne i pokrwawione wargi, przecież myśl jego była ciągle przy niej; czuł się lekkim, jak piórko i chciał polecieć w powietrze za Naomi; lecz obłąkana dziewczyna przebudziła

się i trzymała go tak mocno, tak mocno, a tymczasem powóz odjeżdżał co raz dalej. Wówczas nateżył wszystkie siły, żeby się wyrwać – i przebudził się. Czuł dobrze, iż to był sen, a jednak coś jakby turkotało w powietrzu; na nogach zaś jego leżało coś ciężkiego. Podniósł głowę; otóż siedziała i ona, jak biała, lśniąca mara, z obnażonymi ramionami i piersiami, ocieniona długim włosiem. Ale na chwilę tylko była widzialną; otaczający ją blask fosforyczny znikł, ciemność wróciła jeszcze czarniejsza, a w oddali słyhać było głuche grzmoty.

– Palę się! – rzekła. – Zupełnie mi tak samo, jak gdybym w sercu nie miała już krwi, tylko gorące płomienie! Czy ty śpisz, chłopczyku?

Krystyan nie śmiał się odezwać. Obląkana dziewczyna klęczała na jego nogach; suknie poździerała z siebie i nagie ręce podnosiła wysoko ku niebu.

– Czy słyszysz jak tam wysoko ryczą zwierzęta? – zapytała. Pędzą jak jelenie, a na głowach ogniste mają włócznie. Jeśli przesyją niemi twoje ciało, będziesz nieżywy; jeśli dotkną twojego domu, spali się! największe drzewo rozprysnie się na drobne drzazgi! Widziałeś ich rogi, świecące jak cyna z miedzią? Nie bój się! Niedługo przelecą i potem zostaną już tylko drobne kociaki, których mniejsze są rogi, co w zygzakach wydobywają się z za czarnej chmury.

Lśniący piorun, po którym w tej samej chwili dały się słyszeć silne grzmoty, wszystkich przebudził ze snu. Przestraszone kobiety zerwały się. Staruszka uchwyciła w pół nagą dziewczynę,

stojącą na środku wozu. Wicher igrał w długich jej splotach i wysoko wzdymał leciutką kołdrę, która wisiała tylko na jej nogach.

– Jezu Chryste! – wołano zewsząd. Każdy starał się jak najlepiej przykryć swojego chorego. Krystyana schowano pod dużą derę końską, którą gwałtowny wiatr zaraz potem tak silnie uchwycił, że gdyby jej Marya nie przytrzymała sobą, byłaby pofrunęła gdzieś daleko. Drzewa i krzaki uginały się jak cienka trzcina, gałęzie i liście latały wokoło, a przez burzę słyhać było śpiew młodego dziewczęcia i modlitwę starszych kobiet.

W tej chwili zajaśniał znowu straszliwy piorun i jednocześnie grzmoty zahuczały ogłuszająco nad niemi. Nawet wóz poruszył się, a Krystyan w mgnieniu oka całą okolicę ujrzał oświetloną rażącym, jaskrawym światłem. Każdy krzaczek, każde drzewo, kościół i domy, wszystko wystąpiło wyraźnie przed oczy, a na wozie stała dziewczyna, okryta tylko cienką, białą szatą. Rękami rozrzuciła długie włosy i z dzikim okrzykiem zeskoczyła z wozu; ale w tej samej chwili czarna ciemność pokryła znów całą okolicę. Cicho było jak w grobie.

– Gdzie Łucya? – zawołały matka i babka. – Boże, gdzież się podziała?

Pociemku macały w około siebie rękami, lecz wszędzie tylko drzewa i krzaki. Deszcz lał gęstym strumieniem. Obie kobiety wydały krzyk rozpaczony, który przygłuszył nawet huk grzmotów. Babka szukała na ziemi, – matka pobiegła dalej w deszcz i ciemność, ciągle wołając: – Łucyo! – Krystyan przytulił się do

matki; noc była okropna!

Jeszcze raz jeden piorun i jeszcze jeden huk grzmotu, równie silny jak tamte, przy których znikło młode dziewczę, a potem widocznie już burza ustawała; następujące były znacznie słabsze, deszcz padał już tylko pojedynczemi kroplami. Ale cały ten czas najstraszliwszą był męczarnią dla biednej matki, która nie wiedząc gdzie się obrócić, by znaleźć nieszczęśliwą córkę, biegła tam i napowrót jakby bez celu. Przez chwilę zdawało się jej przy świetle błyskawicy, że widzi białą postać śpieszącą przez pole; pobiegła w tym samym kierunku, lecz zatrzymywały ją raz rowy, drugi raz krzaki, których gałęzie zaczepiały się o jej odzież. W pośród deszczu i wichru była pewna, że słyszy głos córki, co wszakże było niepodobnem, gdyż ryk burzy przygłuszał głosy ludzkie. Zmuszona iść naprzód w kierunku wiatru, była jakby igraszką jego siły; niekiedy czuła nawet, że ją coś unosi od ziemi. Nareszcie stanęła przed wysokim płotem, na który wdrapała się jakby instynktem, choć tylko na to, żeby ją tej samej chwili wicher zsadził na drugą stronę murawy. Błyskawica oświeciła znów przed nią stary dwór w Örbäk z odwieczną wieżą, potężnemi filarami i mnóstwem gotyckich wieżyczek. Była w ogrodzie, gdzie stoją obcięte po dawnemu żywopłoty i białe figury kamienne; czy to z nich jedna zdawała ruszać się przy świetle błyskawicy, czy może była to jej córka? Nogi jej drżały; drżąca woła ją po imieniu, a tymczasem burza wysoko w powietrzu pędzi młode gałęzie i żółkłe listki.

Nazajutrz raniutko Krystyan przebudził się po śnie głębokim.

Jego matka i starsza kobieta siedziały na dyszlu i ciekawie słuchały, co im opowiadała matka Łucyi, dopiero w tej chwili wracająca z wycieczki, a której radość była równie wielka, jak jej przestrach poprzedni. Córka jej spała mocnym snem, naprzeciwko u ogrodnika w Örbäk; znalazła ją tam w ogrodzie pod biało pomalowaną figurą, z głową opartą o kamienny piedestał. We dworze ludzie jeszcze nie spali z powodu niepogody; w domku ogrodnika widać było światło, tam też udzielono pomocy strwożonej matce i położono Łucyą do łóżka. – Gdzie moje suknie, matko? – oto jedyne jej słowa, gdy przejęta potężnym piorunem, który tuż przy niej uderzył w ogrodzie, wróciła do pewnej przytomności. Potem płakała, że aż Boże zmiłuj się, lecz nakoniec zamknęła oczy i zasnęła snem widocznie zdrowym.

– Może się też Pan Bóg ulitował nad nią! – rzekła stara babka – boć ona była zdrowa jak my wszyscy, dopiero po burzy podobnej jak dzisiejsza wróciła z pola, gdzie piorun roztrzaskał drzewo. – Trudno wiedzieć, czy ztąd poszło jej nieszczęście, czy też może przed niepogodą jeszcze spała na słońcu, lub też czy była w tem sprawa złych duchów, które ukazały jej to, co może pomieszać rozum ludzki, – dość że rozum ten przepadł od tej pory. Teraz już drugi rok jeździły z nią do źródła. Niech jej Pan Bóg rozjaśni rozum, albo niechby ją zabrał do swej wiecznej chwały!

## IX

Po południu cała okolica przedstawiała widok świąteczny. Na zielonym placu, gdzie w nocy chorzy wzdychali i modlili się, teraz tańczyli zdrowi, a skrzypce z klarnetem przygrywały starą melodyę płacznego angleza. Około źródła dziewczęta i chłopcy pili zdrowie miłości, ale tej miłości, która pochodzi ze krwi, a nie z duszy.

W wiosce odbywał się jarmark. Wystawiono na sprzedaż garnki i buty, książki i marynetki. Krystyan także już dostał gościńca, bo w rękę niósł stary kapelusz, a nowy miał na głowie; nie zdjął nawet z niego arkusza makulatury, którym go kupiec przez ostrożność obwinał. Później z rodzicami stanął przed świetną budką, gdzie przedawano jedwabne czapki haftowane sychem; korciły go również piękne obrazki norymberskie z pruskiemi żołnierzami i z Turkiem w seraju. Marya twierdziła, że ten obrazek wygląda zupełnie, jakby szkoła dziewcząt. Tam znowu stał wędrowny Włoch, z deską zastawioną gipsowemi figurkami, w których lud nasz najwięcej gustuje: bo z zieloną papugą i Napoleonem. Krawiec natychmiast, jak umiał najlepiej zaczął rozmawiać po włosku palcami i ustami, a Marya przyznała się sierżantowi, iż tyle tylko z tego rozumie, że nie mówią po niemiecku. Mowa ojczysta w obcym kraju takie same sprawia wrażenia na sercu, jakie na dorosłych melodye dzieciństwa, choćby najbardziej chrapliwym odśpiewane głosem,

Włoch śmiał się i raz wraz ścisnął krawca za rękę, podarował mu nawet papugę z ułamaną nogą.

Na kiju obok stołu bujały w powietrzu jedwabne wstążki i pstrokate chustki, a za stołem stał znajomy, który przywitał ich uprzejmem: dzień dobry! Był to stary Joel, co służył niegdyś u dziadka Naomi, a później zwęglone szczątki swego pana przewiózł do rodzinnego grobu.

– Zapewne, wnuczka szczęśliwa! – rzekł, – mała Naomi nie zna biedy! ubierają ją, w jedwabie i muśliny, obsypują złotymi pierścionkami; z niej będzie piękność taka, jak królowa Estera.

– Czyście niedawno byli we dworze? – zapytała Marya.

– Nigdy tam nie idę, – odpowiedział; – taka jest nasza umowa. Nie byłem od tej pory, kiedy pan mój spalił się na popiół, a ja zaniósłem wiadomość, jak biedne to dziecię opuszczone. Wtenczas rozmawiałem z młodym hrabią i ze starą hrabiną, która umie być cierpką jak lekarstwa, co je wiecznie łyka. A ja dlatego jestem tem, czem jestem; dosyć jest dróg na świecie, żebym nie koniecznie potrzebował wstępować do jej dworu. Naomi szczęśliwa! ach, biedna jej matka! nigdy jeszcze nie widział piękniejszej kobiety! Teraz kwiat ten przemienił się w ziemię, a białe jej ząbki w trupiej czaszce najbrzydszą w świecie są pięknnością.

– Z chustką tą byłoby ci wybornie do twarzy, Maryo! – rzekł krawiec i wskazał na chustkę z niebieskiego kartunu w duże, żółte i czerwone kwiaty. – Bierz ją, bierz, bośmy teraz bogaci! – zawołał i poklepał się po kieszeni, w której była już połowa

umówionej summy, bo 500 talarów i zapewnienie wstąpienia do wojska.

Marya potrząsała głową i westchnęła głęboko; oczy jej jednak wracały ciągle do tej chustki, na której kolory były tak jaskrawe, a deseń tak jakoś niezwykajny.

– Jeżeli ja pierwszy dziś u was kupuję, – rzekł krawiec, – to powinien być dobry dla was początek, bo zrobiłem dziś wyborny interes! Tylko nie bądź tak zamyśloną, Maryo! Bóg wie, kiedy znów razem będziemy na jarmarku i czy wtenczas tak piękne będzie słońce na dworze, a tyle pieniędzy w kieszeni! – To mówiąc, zarzucił jej na szyję piękną chustkę, a ona przez dwie łzy uśmiechnęła się, tak samo, jak później w domu, gdy mąż wszystkie papierki rozłożył na stole i rzekł z miną zadowolenia: – Widzisz, Maryo, ile mąż twój jest wart! Tylko nie płacz, bo jak słone krople ściekną na pieniądze, to przy nich nie będzie szczęścia i błogosławieństwa. Już zostałem podoficerem, toć pierwszy krok na oficera; widzisz, tak niedaleko już tobie do wielkiego państwa.

– Za dwa tygodnie idziesz do Odensee na musztrę, – rzekła Marya, – a za miesiąc, jak mówisz, będziesz znów z powrotem. Pan Bóg to raczy wiedzieć! ty bo nie masz w sobie za szeląg spokojności! Zapewne, ty inaczej nie możesz! Czyliż myślisz, żem ja nieraz w nocy nie słyszała, jakieś wzdychał i przez sen mówił o obcych krajach! Płakałeś jak dziecko, i to mnie rozdzierało duszę! Stary kalendarz, w którym zagranicą zapisywałeś, gdzieś właśnie przebywał którego dnia i roku, ten

kalendarz, mówię ci, który tak często wyjmujesz z komody, do którego zagładasz i mówisz: – Wielki Boże! dziś przed tyłoma laty byłem tam i tam, a nie siedziałem tu w Swendborgu na stole! – ten oto kalendarz wydaje mi się djabelską księgą, z której nic nie wyczytujesz dobrego. Teraz zapisz w nim datę, kiedy porzucisz żonę i dziecko! Gdybym cię dobrze nie znała, tobym mogła myśleć, żeś tam zagranicą zostawił swoje serce i że to cię tak teraz czyni niespokojnym. Toć ciebie nikt tak nie kocha, jak ja, a chłopiec jest twoim synem, na to najczystsze mam sumienie!

– Maryo, – rzekł mąż – chciałażbyś mnie zasmucić? Jeżeliś zrobił głupstwo, to już teraz smutek na nic się nie przyda. Lepiej patrzmy na ten wypadek z wesołej strony; dziś wieczorem przyjdzie do nas sierżant z chrzestnym, więc poproś jeszcze rękawicznika i starego Heimerandta i poczęstuj nas wazą ponczu, tak jak niegdyś na naszym weselu.

Nigdy jeszcze Krystyan w małej izdebce rodziców tyłu nie widział gości; było ich razem dziewięcioro. Ojciec chrzestny przyniósł z sobą skrzypce i wygrywał na nich różne tańce i opowiadał bajeczkę o żonie jākale i o piszczącym mężu, a umiał to wszystko doskonale naśladować na skrzypcach. Tak na śmiechach i śpiewie wieczór przeszedł arcy wesoło.

Nazajutrz dzień był tem smutniejszy, a najsmutniejszy był ten, w którym ojciec wybierał się do Odensee. Marya z Krystyanem odwieźli go do pobliskiego Kwerndrup, kiedy zaś ztamąd powóz ruszył dalej, oboje stanęli na wysokiej kamiennej ławce przed

kościółem, żeby jeszcze, jak można najdłużej widzieć ojca, który chustką wysoko powiewał w powietrzu. Wnet atoli droga poszła w bok, a kiedy nic już nie było widać, Marya głowę oparła o mur kościelny i rozplakała się. Potem cicho przechadzała się między grobami, układała porzrzucone wieńce i tu i owdzie porządkowała murawy.

– Jakże tym dobrze, co śpią tutaj! – rzekła. – Ciężka to jednak droga, nim się do nich zajdzie!

Naokoło kościoła na zielonym cmentarzu stoi wieniec wysokich, starych drzew; na każdym z nich proboszcz kazał poprzybijać małe tabliczki z pobożnymi napisami ku zbudowaniu i pociesze przechodniów.

– To nie są drukowane litery! – rzekła Marya, – bo inaczej potrafiłabym je przeczytać. A ty czy potrafisz, moje dziecko?

Krystyan odczytał pobożne wyrazy, a jej się wydawało, jak gdyby każde drzewo na maleńkiej tabliczce mieściło całe kazanie pociechy.

– Pan Bóg wszystko może naprawić! – rzekła. – Gdybym tylko wiedziała, co się stanie później! – I poszła do wioski, do ostatniego w niej domku, gdzie piekarnia jak kopuła sterczała w pół drogi. Kopyta końskie na progu i kawał stali na oknie dowodziły jasno, że złych duchów tu sobie nie życzą. Był to domek mądrej kobiety.

Przystawiono do ognia kawę, a z filiżanki Maryi wyczytała prorokini nadzieję i obawę; jednakże przeważała nadzieja, ta sama, która skrzydłami swemi przegradza kajdany niewolnika od

wychudłych jego członków, która łaskę zapisuje na spadającym mieczu kata, której miękki język śpiewa tak słodkie, choć zdradliwe pieśni. Marya mogła mieć nadzieję.

Ze wszystkich listów, jakie odbierała, sływał na nią balsam pociechy. Czas uciekał. – Na przyszły tydzień przyjedzie! – opowiadała przyjaciółom i sąsiadom: – od dziś już tylko za sześć dni! – i właśnie przybył tegoż samego dnia, więc dopiero była niespodzianka i radość. Biedny Krystyan leżał chory, – źródło nie wyleczyło jeszcze jego cierpienie. Ale ojciec powrócił do domu, więc Marya nie posiadała się z wesołości, choć nie na długo, bo radość zamieniła się w smutek, a smutek w łzy. Jedną tylko noc miał u nich zabawić; jako łaskę pozwolono mu odwiedzić rodzinę na czterdzieści ośm godzin. Pułk miał wyruszyć w drogę do Holsztynu, gdzie miał zejść się z armią francuzką; wojska niemieckie z posiłkami szwedzkiemi zagrażały granicy.

– Nie smuć się, Maryo! Doczekasz się ze mnie chwały! a jeśli dużo nazbieram zdobyczy, o tobie nie zapomnę! Zobaczysz że jeszcze będziemy bogaci! Tylko nie płacz! inaczej już być nie może. Dziś wieczór dobrze się zabawim, potem się prześpię parę godzin, a później do Odensee. Mnie droga więcej nie zmęczyła, jak gdybym się przeszedł spacerem ćwierć mili za miasto! Aż serce mi się ściska, gdy patrzę na ciebie we łzach i na biednego, chorego Krystyana! Czyliż ten ostatni wieczór tak smutny ma pozostać w mej pamięci!

– Nie! – rzekła Marya, – tak nie będzie! – i ostatnie łzy zgmiotła ciemnymi rzęsami. Nakryto do stołu i przyszedł

chrzestny ojciec, który wychwalał życie żołnierskie, mówiąc, że bardzo być może, iż sam się do niego zapisze, ani się nikt tego nie spodzieje. Biedny chłopiec w cierpieniach leżał w łóżeczku; zasnął, kiedy go pocałunek ojca zbudził nad ranem; wzrok ich spotkał się, gorąca łza spadła na usta dziecka i ojciec wybiegł z izby. Marya poszła za nim.

Przez całą resztę dnia siedziała zamyślona i spokojna. – Straciłeś swego ojca! – to były jedyne słowa, które wymówiła.

Korpus duński złożony z 10,000 ludzi miał połączyć się z armią francuską pod dowództwem marszałka Davoust; droga szła do Holsztynu i Meklemburgu. Naprzód! zagrzmiały bębny i wojsko poszło za niemi; lecz szybciej od niej pociągnęły nad ich głowami ptaki wędrowne, które w ciepłych dniach lata przeczynały już zimową śmierć północy.

– Ot i bociany! – zawołał krawiec, – ale latoś polecę z wami! – i patrzył za niemi, kiedy one, jak rój komarów, nikły w niebieskiem powietrzu.

Nad granicą duńską stały wojska nieprzyjacielskie; synowie stepów w jaskrawych kaftanach z założonemi lancami przebiegali pola Danii; bożek wojny, którego współcześni zwali Napoleonem, sam jeden walczył przeciw rycerzom wszystkich krajów. Był to wielki turniej, ostatnia jego zabawa rycerska; dlatego też walczył sam jeden; drobna Dania była jego giermkim: wierne, pełne poświęceń serce, ale siła nie wyrównywała woli.

Dnie i tygodnie mijały w niepewności i oczekiwaniu dla

pozostałych w kraju rodzin; kilka zaszczytnych potyczek zaszło w Meklemburskiem; gdzieindziej w Niemczech Francuzi doznawali klęski, jakoż Davoust zmuszony był cofać się przed Bernadottem, dowódcą armii północno-niemieckiej. Bezustanne to były marsze tam i napowrót, bójkki forpocztów i niepewność dnia następnego. Korpus duński pod księciem Fryderykiem Hesskim podzielony był na trzy brygady; z tych jedną dowodził generał Lallemand, który obsadził Lubekę, tamte zaś cofnęły się do Oldeslohe, gdy tymczasem część armii północno-niemieckiej z posiłkami szwedzkimi ścigała korpus duński.

Gdzież był ojciec Krystyana, którego tęsknota za Górą Wenery znęcała do opuszczenia cichej strzechy domowej? Czy widziałeś kiedy kolumnę żołnierzy, posuwającą się przez pola? czy widziałeś ją, gdy hasłem jej jest **Śmierć!** Jak ogromny krokodyl z świecąca, pstrokatą skórą mundurów i bagnetów, rozciąga ona straszliwe swoje cielsko. Huk armat jest głosem olbrzyma, dym z prochu jego oddechem. Nie widzisz pojedynczych łusek, które w walce spadają z ogromnego ciała, a przecież każda łuska jest życiem człowieka. Całe, wielkie ciało musi się rozpaść, wówczas dopiero cios śmiertelny staje się widzialnym i tak jak rozsiekane cząstki owadu, w drżącej ucieczce tułają się po polach.

Marya za bardzo grubą opłatą pocztową odebrała duży, zapieczętowany list, zapisany na wszystkie cztery strony, który brzmiał jak następuje:

„Moja kochana pani!

„Nie smuć się pani po przeczytaniu mego listu, chociaż powodu do smutku ci nie zbraknie. Byliśmy w Lubece; generał chciał oszczędzić miasto i dlatego przez Segeberg udał się do Bornhöved. Trzeba pani wiedzieć, że grunt między temi wioskami jest gołym stepem. Deszcz padał przez dni kilka, drogi były nędzne, dwa kroki naprzód a jeden w tył; siły nasze słabły coraz więcej. Tuż za nami była konnica szwedzka, silniejsza od nas, jednak kończyło się zawsze na nic nieznaczących szarmitlach. Jeszcze niech się pani nie smuci, bo rzecz najsmutniejsza będzie dopiero później, na drugiej stronie listu. Wprawdzie mógłbym tak samo teraz powiedzieć, o co idzie; ale na takie wiadomości zawsze mamy dość czasu. Po południu zbliżyliśmy się do Bornhöved; tu step się kończy, a zaczyna grunt bardziej przerywany; byliśmy więc w większem bezpieczeństwie przed konnicą nieprzyjaciół. Teraz trzeba pani wiedzieć, że książę Heski kazał obsadzić Bornhöved i na nasze przyjęcie wymaszerował z tamtymi dwiema brygadami duńskimi. Ułani polscy, których tu nazywają lancenierami, zamykali nasz pochód. Otóż żeby wstrzymać nieprzyjaciela podczas przejścia brygady, książę na trakcie do wsi ustawił dwie armaty, a przy niej batalion strzelców celnych; między niemi zaś był mój przyjaciel, a jej mąż, dla którego właśnie piszę cały ten list, jak się pani zapewne domyślasz. Tylko niech się pani nie przełęknie; dziś mnie, jutro tobie! Naprzeciw nas wystąpiła kawaleria szwedzka; nasze bataliony stały po obu stronach w zwartych kolumnach dywizyjnych. Jeden z nich chciał uformować czworobok, ale jazda nieprzyjacielska już nas ominęła i przypuściła

atak do Bornhöved. Druga połowa stała naprzeciw nas; w szeregi nasze wkraść się nieporządek, a gdyby nieprzyjaciel z tego korzystał, toby mogło być całkiem po nas; tylko na szczęście, że tego nie uczynił. Kochana pani, list ten jest bardzo długi, ale trzeba pani wiedzieć wszystkie okoliczności i dlatego wypisuję większą część z mojego raportu, żebyś pani okoliczności te dokładnie poznała. Uformowaliśmy batalion, ale, jak już powiedziałem, część konnicy nieprzyjacielskiej zapędziła się do Bornhöved, ułani polscy puścili się za nią, lecz w pogoni zatrzymała ich najprzód jazda holsztyńska, potem znów nasza piechota. Artyllerya na czele do reszty zatarasowała nam drogę i teraz powstał okropny ścisk i tłok, tak, że przeszło stu ludzi dostało się pod nogi ludzkie i pod kopyta końskie, żeby już nigdy z pod nich nie powstać. Tłok ten był przyczyną, że bitwa żadna miejsca mieć nie mogła. Nieprzyjaciel ściśnięty został z obu stron, jakby w silne kluby. Tymczasem piechota duńska strzelała, jak mogła najlepiej; Szwedzi musieli się cofnąć na trakt, gdzie stały nasze bataliony, więc pędzili wzdłuż rowów, poschylali się na karki swych koni, chociaż w takim przejeździe ubito ich jeszcze przeszło dwustu. Assekuracya dwóch armat broniła się mężnie i do ostatniego strzelała kartaczami, ale jeden tylko z pomiędzy nich, pan porucznik, został przy życiu. I tak więc pani jesteś wdową. Oto mój smutny list. – Z uszanowaniem,

przyjaciel,

*Jordsach, sierżant.*”

## X

**Śmierć!** Jakież świat bólu spoczywa w tym jednym, drobnym wyrazie. Jest to miecz obosieczny, który ścinając to co jest drogim sercu naszemu, wpada do własnej piersi, że aż ściemnia się przed oczami, chociaż słońce oświeca miliony szczęśliwych. Jeden tylko wyraz, krótszy jeszcze od tamtego, wspiera nas i może natchnąć pociechą, jeden ten wyraz: **Bóg!**

– Tak, byłam na to przygotowaną, – rzekła Marya, ale nie była przygotowaną. Smętne, przykre przejście z jesieni do zimy, jak dom żałobny, tem bardziej rozżalało nieszczęśliwą. Powietrze było szare, deszcz z śniegiem napelniał błotne ulice. Ciemno było na dworze i ciemno w najwewnętrzniejszych jej myślach.

– Nie płacz! – mówił Krystyan, – bo i ty zachorujesz i także mnie opuścisz! Toć ty umiesz prac i prasować, ja umiem grać na skrzypcach; będziemy więc zarabiali na życie i niepotrzebnie już się troszczysz!

– Ty anielskie dziecko! – odpowiedziała Marya, – niech ucałuję twoje oczki i słodką buzię! Tak jest, dla ciebie będę żyła, bo i cóżby się stało z tobą?

Nigdy Boże Narodzenie nie zbliżało się do nich tak cicho i tak smutno, jak tej zimy!

– Poczciwy to jednak, ten gospodarz z Örebäk! Przysłał na wilię piękną gęś, chleba i masła<sup>12</sup>. Miałżeby jeszcze na mnie

---

<sup>12</sup> *Przysłał na wilię piękną gęś...* – w Danii jak w Anglii, w każdym najbiedniejszym

jakie zamiary? Nie, tego kroku nigdy już nie zrobię! Zaproszę tu na wilię twojego ojca chrzestnego, chociaż go nie lubię! lecz czynię to dla ciebie! Może cię czem obmyśli, gdy podrośniesz!

Stół był nakryty. Serce Krystyana pełne było radości kolendowej. Marya wydobyła z komody psalmy.

– Wy umiecie śpiewać! – rzekła do ojca chrzestnego. – Zaczynajcie!

– Ja psalmów nie umiem! – odpowiedział. – Jeżeli się ta książka ma nam na co przydać, to lepiej roztwórzmy ją na traf szczęścia i zobaczmy, jakie nas czekają losy. Cóż bo jest w tem prorocztwie! To co się stanie, zapisano jest w tej wielkiej księdze, tak samo jak zapisano w naszej krwi i duszy!

Marya roztworzyła książkę.

– Psalm weselny! – rzekła, – doprawdy, że to się jakoś nie zgadza. Ja już w życiu mojem nie pójdę za mąż! żebym tylko chłopca widziała silnym i zdrowym i z jakim takim utrzymaniem na całe życie!

– To zależy od jego gwiazdy! – odpowiedział chrzestny. – **Cóż** wprawdzie możemy zrobić, ale nigdy **wiele!** Jeżeli tkwi w nim, żeby kradł, żeby był kobieciarzem, to już mu na to nikt nie poradzi. Może się wychować między najpoczcziwszymi ludźmi, można wpoić w niego najlepsze myśli; jeżeli złe już raz w nim siedzi, to koniecznie wylezie na wierzch! Można je wprawdzie przytłumić, ale gdy dojdzie do lat, wtedy wybuchnie z niego

---

niamal gospodarstwie, gęś pieczona równie jest obowiązkową w Wigilię Bożego Narodzenia, jak u nas rybne potrawy. [przypis tłumacza]

z tem gwałtowniejszą siłą! Już to w każdym z nas tkwi dzięki zwierzę, w jednym wilk drapieżny, w drugim wąż, który umie czołgać się na brzuchu i zlizywać pył z ziemi. Zwierzę w każdym z nas siedzi; idzie tylko o to, czy ono, czy my największą mieć będziemy siłę, a siły nikt z nas nie ma z siebie.

– Niech nas Pan Bóg wybawi od władzy złego! – rzekła Marya i spojrzała przed siebie. Rzekłby kto, że ten zły duch, którego się boi, siedzi przy jej stole. Usłyszane wyrazy, były dla niej jakby postacią upioru, będącego z przodu świetną pięknoscią, a z tyłu czczym i pustym, jako oznaka świata, do którego należy.

– Dużo czytałem książek, – rzekł ojciec chrzestny, – i czytałem wiele o obcych narodach. Dziwni tedy są ludzie na świecie! Co my u siebie nazywamy grzechem, to inni zwą sprawiedliwością. Dziki pożera swoich nieprzyjaciół, a kapłan jego mówi: teraz prosto dostaniesz się do nieba! Turek ma dużo żon, a bóg jego więcej jeszcze obiecuje mu ich w raju. Wszystko zależy od zwyczaju, a któż nas zapewni, że my właśnie idziemy za najlepszym, bo robimy tak, jak robią inni? Kto wie, czy zwierzę w nas nie ma większej słuszności od człowieka, który się trzyma swoich prawideł szkolnych! Czy nie prawda?

– Ach, zapewne! – rzekła Marya, – ale aż straszno o tem pomyśleć! – Zatrwożona schowała znowu księgę z psalmami, dała jedzenie na stół i rozpoczęła inną rozmowę: – Żeby tylko mój mały Krystyan przyszedł do siebie! Wiem ja wprawdzie środek, o którym mówiło mi już kilka osób, ale ten środek za nadto okropny! pić ciepłą krew – !

– Nie gadajcie o tem! – zawołał chrzestny. Mnie to już jakoś wrodzone, iż nie mogę ścierpieć, żebym popatrział na to, jak biednemu kurczęciu podrzynają gardło! Znam ja niewinniejszy środek, sympatyczny, jak go nazywają, i właśnie trzeba go użyć w taką świętą Wilię Bożego Narodzenia. Ja powiem kilka słów tajemniczych, a on zimnej jak lód wody napije się z mojej ręki.

– Jezu Chryste! – przerwała Marya i odsunęła raptem krzesło, na którym siedziała, – czyście byli na wojnie? czyście zabili człowieka?

Twarz ojca chrzestnego zbladła jak chusta.

– Cóż znowu gadacie? – zapytał, spoglądając na nią z pod oka.

– O Boże! ja nic nie gadam! – rzekła Marya. – Toć tyle jest dziwnych środków, które nam dał Pan Bóg, a może też kto inny! Ale to coście powiedzieli, przypomniało mi szwedzkiego szypra, który zeszłego lata stał tu pod naszym mostem. Mówiłam z nim o chorobie syna i jakie też na nią mogą być lekarstwa; wspomniałam o tem, co tu u nas wiedzą wszyscy, że podobno najskuteczniejsze, wyżebrać sobie garnek i w niego na rusztowaniu nazbierać krwi ściętego zbrodniarza, której się chory potem powinien napić; ale szyper zapewniał, że w Skonii wierzą to samo, tylko wierzą także, że jeśli ma pomódz dziecku, wówczas dosyć dać mu się napić zimnej wody z gołej ręki takiego człowieka, który przelał krew ludzką, a skutek nastąpi niezawodny. Radził mi także, iżbym w tym celu poszła do żołnierza, co był na wojnie, albo też do Mistrza; – taka więc rada i to, coście wy mnie dopiero powiedzieli —

– Jakoś wychodzi na jedno! – przerwał chrzestny. – Ani słowa! Ale cóżbyście powiedzieli, gdybym wam dał garść nasienia najpiękniejszych kwiatów, a wybyście wzięli je, lecz zostawili w skrzyni, dopóki by nie straciło całej swojej mocy; nie byłoby to tak samo, jak gdybyście zniszczyli cały rząd zagonów kwiatowych? U nas w Norwegii opowiadają historię o dziewczynie, która miała wstręt do macierzyństwa, i dlatego w dzień ślubu z wieńcem mirtowym na głowie, poszła do młyna, gdzie mieszkała czarownica, prosząc ją o środek, żeby nigdy nie porodziła żadnego potomstwa. Więc czarownica dała jej dwanaście ziarenek, które miała wrzucić do stawu; uczyniła to wprawdzie, nie myśląc przy tem nic złego, lecz za każdym ziarnkiem, które wpadło w wodę, dziwny jakiś dał się słyszeć odgłos, jakby westchnienie; było to pękające serce dziecięcia. Została żoną, bezdzietną żoną i dopiero gdy była już staruszką srebrnowłosa, ogarnęła ją nieznana jakaś bojaźń. Ręka jej była czystą od krwi, a jednak była zabójczynią i w duszy cierpiała jak morderca. Wówczas o północy weszła do kościoła, żeby przebłagać Boga za swą winę, i ujrzała na górze przy ołtarzu stojących dwunastu swoich niepowitych synów, a za nimi ich niezrodzone dzieci, całe pokolenie, napełniające wszystkie miejsca kościoła; uklękła więc i modliła się, ona, samowolna zabójczyni całego pokolenia<sup>13</sup>! Czy rozumiecie tę historię?

---

<sup>13</sup> *Jakoś wychodzi na jedno!*... – oto koniec tego podania: Ksiądz, rozgniewany grzechem kobiety, przeklął ją i powiedział: Nie dam ci rozgrzeszenia i Pan Bóg ci nie przebaczy; prędzej róże wyrosną z naszej posadzki kamiennej! – Tej samej nocy, w której miała to widzenie w kościele, księdzu śniło się toż samo, a gdy się

Takich zabójców wielu jest na świecie, zabójców pokoleń niezrodzonych, takim i ja jestem, takim pozostanę, bo we krwi mam jakąś odrazę, żebym miał mężem być kobiety! Niech tylko chłopiec pije z mojej ręki! chociaż krwi na niej nie widać, jednak krew jej się trzyma! – I wstrzymał oddech, żeby głęboko nie westchnąć.

– Pewnieście chorzy! – rzekła Marya i lękliwie spojrzała na niego.

– Nigdy już twojego ojca chrzestnego nie zaproszę! – powiedziała do malca, gdy gość odszedł i udawali się na spoczynek. – Mnie się wydało, jak gdyby zły duch był u nas w stancy! złóż ręce i zmów modlitwę wieczorną! Jeszcze cię innej nauczę, którą pamiętam z dawnego kancyonału!

Stare przysłowie niesie: „Gdy dnia przybywa, większy mróz się zrywa.” Tak i teraz nowy rok dużo sprowadził dni niezmiernie zimnych i ciemnych, a szyby w oknach rzadko kiedy były przezroczyście.

– Teraz droga równiuteńka jak posadzka, tak ją mróz paradnie wygładził! – mówił gospodarz z Örebäk, odwiedzając jednego dnia Maryą. – Powinniście się nieco rozweselić! Przyjedźcież do mnie i chłopca zabierzcie z sobą. Czekam waszego przyjazdu furmanką!

– Chętnie chłopcu zrobię tę przyjemność, – rzekła. – Dla

---

przebudził, posadzka była pęknięta i z szpar wyrosło dwanaście prześlicznych róż; byli to jej niepowici synowie. – Teraz nasza matka zbawiona! – zawołał ksiądz i pobiegł do kościoła, gdzie ją zastał nieżywą przed ołtarzem. [przypis autorski]

niego też chyba tylko mogłaby kiedyś zrobić takie głupstwo i raz jeszcze pójść za męża, chociaż niezawodnie tego nigdy nie uczyni; a jednak jeszcze w następnym roku młoda trawka nie wypuściła kielków z ziemi, kiedy już się wahała pomiędzy przyjęciem a odmową.

– Dalibóg, chybabym to zrobiła dla ciebie, drogi chłopcze! – mówiła Marya. Krystyan płakał; nowy ojciec wcale jakoś nie był łagodny ni wesoły. Gniewał się na jego grę na skrzypcach i nazywał ją nudnym rzepoleniem.

– Maryo! dobrze wiesz, że zawsze ciebie lubiłem! Tyś jednak wzięła innego, i ja uczyniłem tak samo; teraz oboje jesteśmy wolni i swobodni, a mnie w domu potrzeba żony, matki dla mego syna. Wprawdzie mógłbym wziąć Annę, wdowę po ptaszniku, przystojną jak wiesz kobietę, która ma dwoje dzieci, a za każde z nich przez dziesięć lat pobierać będzie po dziesięć talarów rocznie; jest to niezły kapitalik, któryby naprawdę mógł naprowadzić na nią szczerą chęć. Ty przeciwnie nic nie masz, tylko jeszcze w dodatku chłopca, ale ja ciebie lubię, i jeżeli tak zechcesz jak ja proszę, to na przyszłą zaraz Niedzielę dam na zapowiedzi!

Podawała mu rękę.

– Tak jest, to tylko dla ciebie, moje dziecko! – powtórzyła, a zielone łąki, dwór i krówki tańczyły wesoło przed oczami jej duszy, co przez cały rok płakały po mężu, który obczyzną lepiej kochał od stron rodzinnych, a nawet od niej samej.

Im łzy gorętsze, tem prędzej wysychają. Kwefy wdowie

zamieniają się w welony ślubne, dlatego też wieniec z kwiatów spoczywa nie tylko na czole narzeczonych, ale także na skroniach umarłych. Tak jest, wieniec ten sam uśmiecha się w trumnie, a odmianą swych kolorów mówi do umarłego: Zapomną o żalu i o tobie, zapomną jak o powieści, która przed chwilą łązy im wyciskała. Tak jest, te uśmiechnięte kwiaty są powieścią dla umarłego, dopóki same nie zwiędną i w pył się nie obrócą, a wtedy znów kościotrup wyśmiewa je w trumnie, że i one na zawsze tak zamilkły.

– Więc teraz już po skrzypcach, – rzekł chrzestny. – Ja inaczej myślałem, ale cóż może przewidzieć człowiek? Teraz będziesz miał w ręku pług, nie skrzypce! Pójdiesz nową drogą, albo bezdrożem! bo i to trudno przewidzieć. Zresztą stare skrzypce daruję ci, jakoteż małą książkę z nutami, w których są tańce. Już to ten sam koniec przyjdzie także na piękną książkę z obrazkami, którą zawsze tak lubiłeś. Bierz ją sobie! Ja ciebie kocham i ty mnie także, wszak prawda? tylko nie płacz, kochane dziecko! daj mi buzi! dobrze, jeszcze raz! Uściskaj mnie! Czy nigdy tego nie zapomnisz, co ci powiem? W młodości bądź wesół i używaj, żebyś już wszystkiego miał dosyć, skoro będziesz starszy. Grzechy młodości ludzie przebaczą, ale dojrzałych ludzi sądzą tem surowiej. Chwytaj rozkosze, gdzie je znajdziesz, żebyś na starość nie potrzebował na to płakać, iż nie masz żadnych grzechów, bo grzechy potrzebne, jak sól kuchenna w jadło. Lepiej zresztą, żebyś życia użył za wiele, jak gdybyś później w samotności miał wzdychać, żeś go nie używał, póki

jeszcze czas był po temu. Oto co ci zapisuję w twoim imionniku! Bóg czy djabeł, w czymkolwiek pułku będziesz służył, niechaj łaskawym dla ciebie będzie panem! – I podał Krystyanowi skrzypce i książki.

Takie były ostatnie odwiedziny w Wąwozie.

## XI

Dzień przed ślubem prawdziwym jest dniem męczarni dla panny młodej na wsi; męczą się nad jej strojem, bo po raz pierwszy w życiu, a może i po raz ostatni, ma się ukazać w gołej głowie. Więc włosy jej myją ługiem, z czego nabierają twardości i sztywności, tak, iż jeszcze trudniejsze są do czesania niż zwykle, jakoż częstokroć panny młode mdleją na dobre podczas takiego przystrajania. Wprawdzie Marya nie była na to wystawiona: – bo, jak się wyrażał ktoś z przypatrujących się pochodowi do kościoła, włosy jej były jak jedwab’; zaś to, iż jako wdowa nie chciała wystąpić w czepku, tylko w gołej głowie, zdaniem tych widzów dowodziło próżnej pychy. W istocie wszyscy krewni pana młodego niechętnem okiem spoglądali na nią, boć Marya prócz syna wyrostka, na owinięcie palca nie wносиła nic do domu.

Łuk tryumfalny wystawiony był na drodze; bramy przez które przejeżdżali, przystrojone były w zielone gałęzie, a przed młodą parą druzbowie tam i na powrót galopowali na dzielnych, choć przyciężkich szkapach. Na samem czele jechała panna młoda ze swemi druchnami, których ogromne bukiety sterczały z wozów jakby laski marszałkowskie; w nich jaśniały małe dzwoneczki i lusterka; nic pyszniejszego nie widziano jeszcze nigdy. Trąby i skrzypce grzmiały, że aż słychać je było w kościele, gdzie przygłuszały nawet organy. Druchny nie mało

chwwały zdobyły w kruchcie, którą przystroiliły w gałęzie i różne takie rzeczy „co się świecą”, jak mówią chłopci: obrazek za cztery szylingi wyobrażający króla na koniu, kolorowa etykieta apteczna z flaszka, na której jeszcze czytelny był napis: „za sześć szylingów kropli jałowcowych”, stara mufka z czerwonej materyi jedwabnej i dużo innych ślicznych rzeczy wisiało między zielonemi liśćmi i wieńcami z kwiatów. Każde chłopskie wesele w Danii, jeżeli ma być świetne co się zowie, przystroić się musi w takie dziecinne świecidełka.

Pomiędzy zaproszonymi kobietami, które w kościele siedziały w pierwszych ławkach, są dwie dobrze nam znajome od źródła, matka i babka wraz z młodą, zajmującą Łucją. W niebieskich jej i wyrazistych oczach żadnego już nie było śladu obłąkania; siedziała spokojnie i nabożnie jak wszyscy. Tak samo jak burza w owej nocy, uspokoiła się także walka jej duszy. Krystyan, który siedział na stronie mężczyzn<sup>14</sup>, poznał ją natychmiast; ona przeciwnie patrzyła nań jak na obcego i głośno śpiewała święte psalmy.

Młoda para przystąpiła do ołtarza; orszak ślubny stanął pod chórem. Dwie kobiety szeptały między sobą:

– Uważaj teraz na pannę młodą i na pana młodego; które z nich pierwsze się ruszy, pierwsze umrze!

– Ha, toć ona się ruszyła!

---

<sup>14</sup> ...siedział na stronie mężczyzn... – w Danii we wszystkich kościołach, tak samo jak u nas w niektórych, ławki kobiet znajdują się po jednej stronie nawy, a przeznaczone dla mężczyzn po drugiej. [przypis tłumacza]

– Ale się to nie zgadza z drugą wróżbą! – rzekła młodsza. – A ja w tamtą więcej jakoś wierzę! to bo nigdy nie chybi! Z imienia pana młodego i panny młodej przekonać się można, które z nich umrze pierwsze. Wszystkie litery obu imion trzeba zliczyć razem, a potem się mówi: Adam umrze! Ewa umrze! to wszystko jedno, jak gdyby się powiedziało: on umrze! ona umrze! a czyje wypadnie na ostatku, ten umrze prędzej od tamtego. Ale prawda, toć i to się zgadza, bo ona się nazywa Marya, to jest pięć liter, pisząc tylko przez jedno r, a on nazywa się Jakób, także pięć liter, więc razem liter dziesięć, a zatem przy liczbie parzystej zawsze wypadnie na to, że Ewa umrze pierwsza!

– Ależ on się nie nazywa Jakób, jeno Kuba! – rzekła młodsza kobieta.

– A na chrzcie świętym jakie mu dali imię? – zapytała druga. – Jeżeli się nazywa Kuba, to on umrze pierwszy, ale jeżeli Jakób, ona umrze przed nim, i w takim razie dobrze wypada, że ona pierwsza się ruszyła!

Taką rozmowę przerwała mała tuż obok sprzeczka, która jakkolwiek nie nadto głośna, jednak im przeszkodziła w nabożeństwie. Syn pana młodego, Niels, chłopak dwunastoletni, z twarzą przyplaszczoną i złośliwą, niezbyt delikatnie nowego brata Krystyana odtrącił na bok, żeby samemu stanąć na przodzie, na co się ten ostatni skrzywił i odfuknął. Kobiety przykazały im spokojność, a Krystyan zażenowany spuścił oczy i spojrzął na swoje białe pończochy; ale w tej samej chwili Niels zawałał je zaszuwaksowanym trzewikiem. Krystyanowi ły

stanęły w oczach, a Łucya karcącym wzrokiem spojrzała na Nielsa.

Ślub się skończył, a trąby przed kościołem zagrzmiały jak melodye dnia sądnego. Pan młody jak najspieszniej odjechał, by żonę swą przyjąć w nowym domu; w sieni stali muzykanci, a za nimi nowożeńcy obok stolika z cynowym talerzem, na który każdy z gości kładł swój podarek ślubny. Ile razy który z przechodniów miał położyć większy jaki pieniądz papierowy, nie zanedbywał rozwijać go starannie; bo obdarowany z obowiązku takim samym odpłacić się musi prezentem, jeżeli później przypadnie wesele dawcy lub którego z członków jego rodziny. Dano jedzenie na stół, odśpiewano pieśń godową, a druźbowie nowozamężną poprowadzili do tańca panu młodemu.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.